

zdarzenia

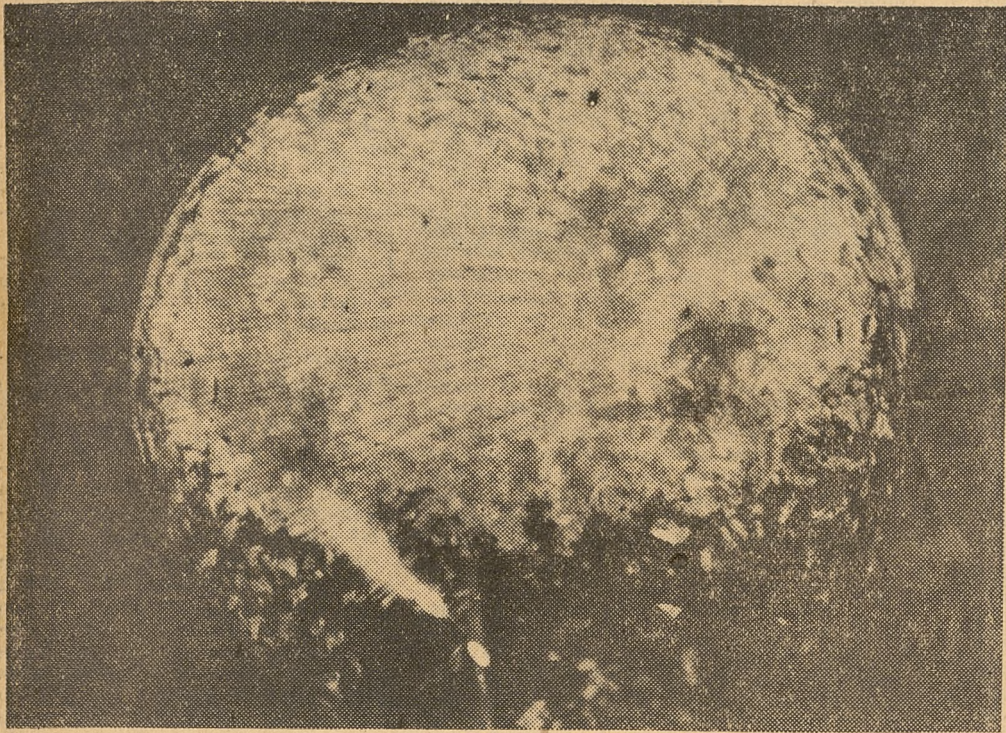
ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

KRAKÓW

7. VII. 1957 r.

Nr 9

CENA ZŁ 1.50



Kryształki leku przeciwradiacyjnego

LEK EPOKI ATOMOWEJ

Kryształki znajdujące się w demonstrowanej obok buteleczce mogą się pewnego dnia stać błogosławieństwem ludzkości. Stanowią bowiem pierwszy na świecie lek (wypróbowywany na razie na małpach) zupełnie zabezpieczający przed chorobami promieniotwórczości. Jak wiadomo, (z szeregu mniej lub więcej popularnych artykułów, ukazujących się w całej światowej prasie) promieniowanie, pochodzące z różnego rodzaju źródeł, m. innymi promieniowanie substancji radioaktywnych, które w wyniku prób atomowych zagęszczają się w atmosferze, może powodować zgubne skutki dla zdrowia ludzkiego.

Promieniowanie niszczy komórki organizmu, rozbijając w nich cząsteczki związków chemicznych. „Rozbite” cząsteczki cyrkulują następnie w ciele, hamując produkcję ciałek krwi.

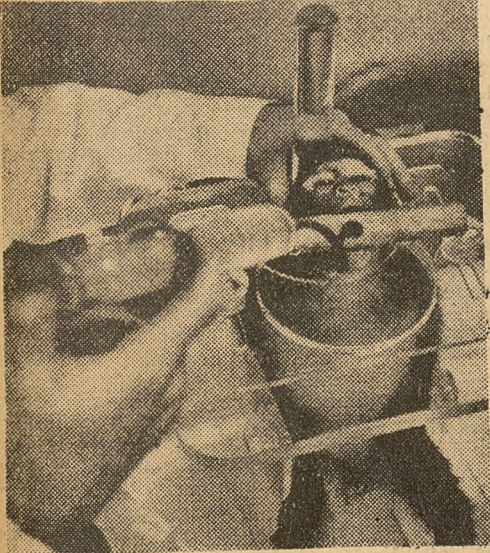
Nowy lek aminoethyliso-thiauronium w skrócie nazwany „AET”, pochłania „rozbite” cząsteczki, nie dopuszczając tym samym do nich rujnującej krwi.

AET (zapamiętajcie sobie tę nazwę — na pewno będzie o tym leku głośno na całym świecie) został wytworzony w laboratorium w Oak Ridge przez doktorów — Davida Doherty i Raymonda Shapira. W czasie prób dokonywanych na małpach na Uniwersytecie

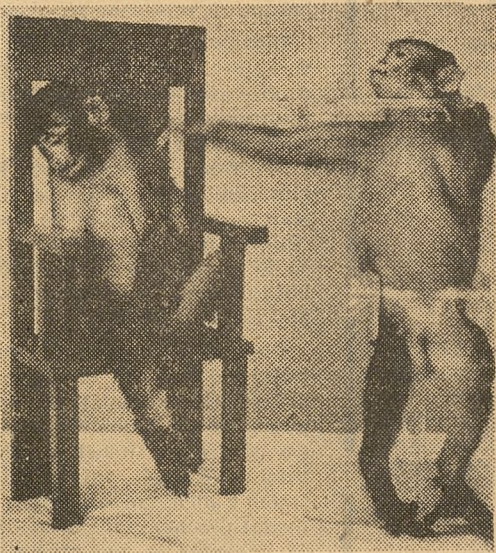
Tennessee przez dr Richarda Overmana lek wykazał się 100 procentową skutecznością, gdy podawano go na dziesięć minut przed naświetleniem organizmu groźną zwykle dla zdrowia dawką promieniowania. Zwierzęta poddane morderczemu promieniowaniu, a uprzednio potraktowane AET-em — nie zapadały na żadne schorzenia. Niektórym wypadało tylko trochę włosów, inne przechodziły krótkotrwałą anemię.

Dr Overman pracuje obecnie nad podwyższeniem skuteczności leku — chodzi mu mianowicie, aby lek nie działał tylko przez kilka godzin, ale przez znacznie dłuższy okres czasu. Gdy doprowadzony zostanie do takiej postaci lekarz spodziewa się go wypróbować na ludzkich ochotnikach. Trzeba tu dodać, że medycyna współczesna zna wiele wypadków dobrowolnego poddawania się ludzi niebezpiecznym doświadczeniom. Znana jest na przykład historia doświadczeń z rakiem, przeprowadzonych niedawno w USA. Królikami doświadczalnymi byli w tym wypadku ludzie skazani na dożywocie. Zgłaszali się dobrowolnie, motywując swoją ochotę różnymi względami — przede wszystkim chęcią odpokutowania za dawne przewinienia.

Oczywiście najlepszym lekiem na radiację byłoby... zaprzestanie wszelkich prób atomowych.



Podawanie leku małpce doustnie. Ludzie będą otrzymywać lek w pigułkach



Małpa wypoczywająca na krześle — chora. Przed naświetleniem nie otrzymała leku. Jej towarzyszą, która dostała zabójczą dawkę radiacji, czuje się doskonale. Lek uchronił ją przed chorobą

NIE WIEM DLACZEGO ZABIŁEM

Reportaż: ANNA STROŃSKA

Zdjęcia: A. PIOTROWSKI



Nie wiem czemu zabiłem — mówi Ryszard Gorzel. — Ja nie chciałem tego zrobić... drzwi od sypialni rodziców były uchylone... zażartowałem: „Mamusiu, nie zapomnij o sukni na mój ślub”... Zacząłem się śmiać... Potem zaczęliśmy się kłócić... porwałem z okna młotek...

Ryszard Gorzel płacze.

— Po którym uderzeniu matka upadła? — pyta przewodniczący.

— Nie wiem. Może matka krzyczała, mogła krzyczeć. Nie pamiętam.

— A ojciec?...

— Chciałem wybiec na ulicę, w drzwiach do przedpokoju natknąłem się na ojca, zastąpił mi drogę... nie mogłem go ominąć.

I to jest właściwie wszystko, czego sąd zdołał się dowiedzieć od Ryszarda Gorzela.

AFEKT?...

Tak można by pomyśleć — kiedy się patrzy na szlochającego spazmatycznie chłopca o zwyczajnej, niebrzydkiej twarzy, kiedy się wie, że ten chłopiec ma 20 lat — i rodzice nigdy go nie skrzywdzili

Rozmiar zbrodni, jej przebieg, jej przerastająca ludzkie pojmowanie zgroza — zmuszały sąd, zmuszając dziennikarza do poszukiwań jakiejś racji choć w części logicznej, jakiego punktu wyjścia w procesie myślowym — który próbował by uzasadnić czyn Ryszarda Gorzela.

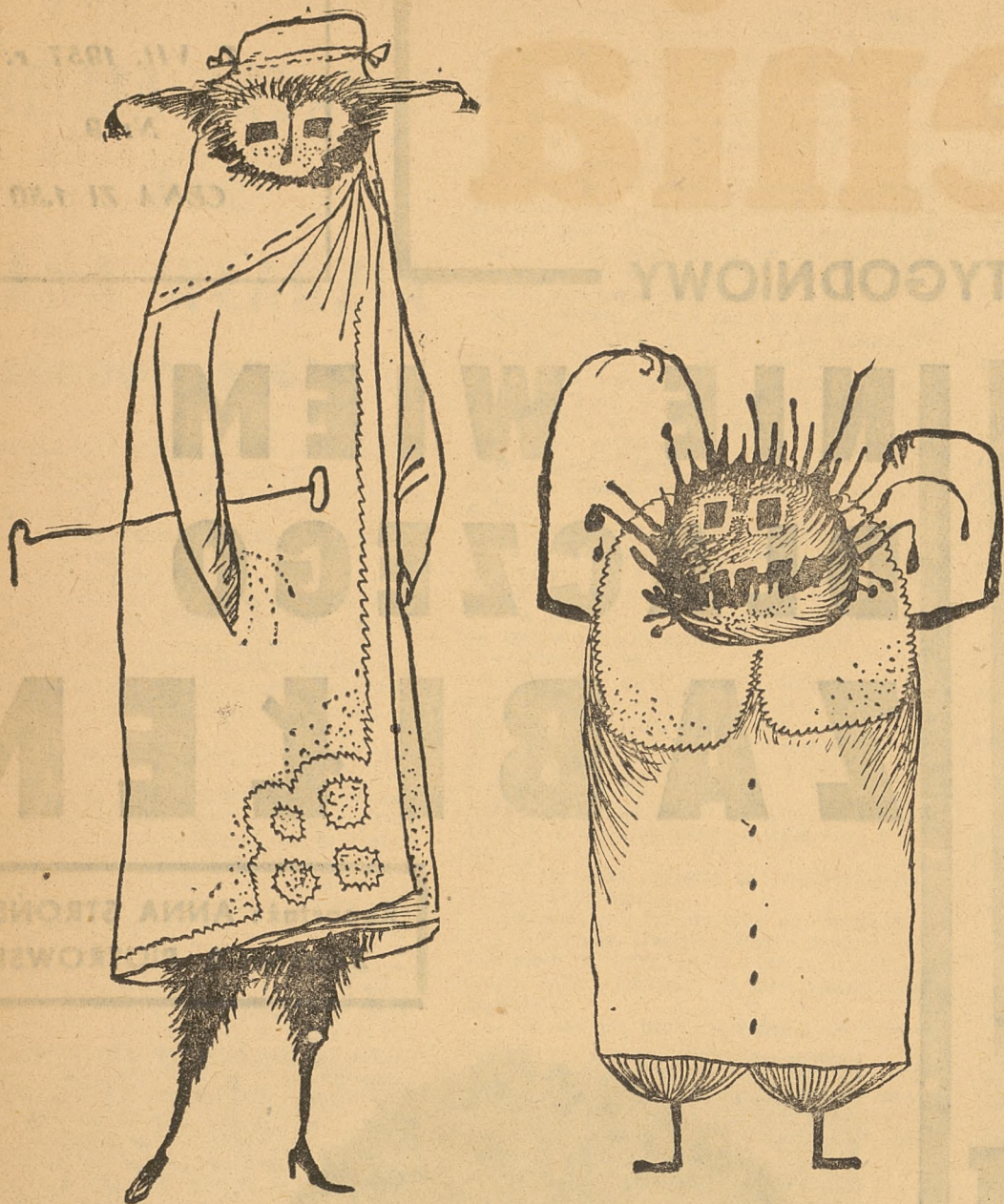
Był faworyzowanym synem, skończył szkołę średnią, już pracując zarobkowo dostawał od rodziców pieniądze. Danuta Kasperek nie podobala im się, to prawda; powątpiewali w jej wartość moralną, tłumaczyli synowi, że jest na małżeństwo za młody, że powinien się jeszcze uczyć — ale ostatecznie ustalono przy spotkaniu z rodzicami Kasperków termin ślubu. Gorzelowie obiecali synowi samodzielny pokój, zamierzali nawet sprzedać swoją działkę ziemi na wsi, aby ułatwić młodemu pierwsze kroki. A więc?...

Gorzel utrzymuje, że ojca „bardzo lubił”. Jedyny zarzut pod adresem matki, który zdołał sprecyzować, brzmi:

— Gotowała kiepsko, nie dbała o dom. Od lat stołowaliśmy się z osobna, po restauracjach...

Zbrodnia oglądana od tej strony wygląda istotnie na konsekwencję chwilowego szału i to bezustannie

(Dalszy ciąg na str. 3)

O MĘKACH
PIEKIELNYCH

ZDERZENIA

Najtrudniejsza decyzja

Na pytanie, jaka decyzja — natury wojskowej czy politycznej — była najtrudniejsza w jego życiu, Tito odpowiedział, że jeśli idzie o sprawy wojskowe, najtrudniejsza była decyzja (podczas czwartej ofensywy niemieckiej w 1943 r.), w jaki sposób uratować kilka tysięcy rannych przerywając się przez pierścień wojsk niemieckich, otaczających siły jugosłowiańskiej Narodowej Armii Wyzwoleniczej. Trudnych decyzji politycznych było kilka. Należała do nich np. decyzja w sprawie stanowczego przeciwstawienia się Stalinowi w roku 1948; Tito podkreślił, iż trzeba było wtedy starannie ocenić konsekwencje tego kroku i liczyć się z najgorszymi nawet ewentualnościami.

W odpowiedzi na pytanie, czy po roku 1948 były momenty, w których Tito obawiał się, że Rosjanie mogą użyć siły przeciwko Jugosławii, Tito stwierdził, iż sytuacja w owym czasie była bardzo poważna. „Tak, czy inaczej — powiedział Tito — straciłem zaufanie i uważałem, że Stalin zdolny jest do wszystkiego. Oczywiście, były pewne dane, które każały nam trzymać się na baczności”.

(Z WYWIADU PREZYDENTA TITO DLA TELEWIZJI AMERYKAŃSKIEJ).

Zero

„Opowiadali mi towarzysze w Charkowskich Zakładach Traktorskich o historii, która zdarzyła im się w ub. roku. To nie

zmyślony dowcip — uprzedzili — to fakt najautentyczniejszy”. Otóż fabryka ta otrzymała — jak zwykle — z ministerstwa plan produkcji na kwartał. Ze plan zjawiał się z ministerstwa gotowy i niekonsultowany ani z załogą, ani z dyrekcją, nikogo — rzecz jasna — w zdziwienie nie wprawiało, gdyż taka była jeszcze wówczas praktyka. Tym razem jednakże podyktowane wskaźniki wydały się nie do wykonania, przekraczały możliwości załogi. Zaczęło się analizowanie, przymierzanie, liczenie; zebrała załoga, kierownictwo, organizacja partyjnej. Wreszcie telefon do ministerstwa; „Kochani, nie potrafimy! Skąd takie cyfry”? Potem drugi telefon, trzeci — bezskutecznie. „Taki jest wasz plan — mówią w ministerstwie przeanalizowaliśmy go raz jeszcze i musicie go wykonać”. Wówczas delegacja załogi zjawia się w ministerstwie. Znowu dyskusje i znowu bezskutecznie. Aż tu nagle — zupełnie przypadkowo — pęka nie lada bomba; okazuje się, że maszynistka przepisując plany przez omyłkę dopisała do wskaźników Charkowskiej Fabryki Traktorów — jedno skromne zero... („ŻYCIE PARTII”).

Mistyfikacja?

Zdjęcia dokonane ubiegłego lata, w chwili, gdy Mars znajdował się najbliższej Ziemi, spowodowały, że niektórzy astronomowie skłonni są powrócić do dawnej hipotezy, jakoby słynne kanały były dziełem istot rozumnych. („WIDNOKREĞI”).

Układ sił

„Nie ulega wątpliwości, że Rosjanie mogą skoncentrować co najmniej 114 dywizji przeciw Europie środkowej i zachodniej, zachowując poza tym duże jeszcze siły do działań na bałkańskich teatrach operacyjnych i na Bliskim Wschodzie.

A jak wygląda sytuacja po naszej stronie?...

Dwanaście dywizji znajduje się obecnie na miejscu w Europie zachodniej. Poza nimi można by zmobilizować jeszcze tylko 10 innych w ciągu trzech do czterech tygodni. („REVUE DE LA DEFENSE NATIONALE”).

„Anty-Kuźnica?”

„Polityka” jest dla mnie „Anty-Kuźnica”.

„Kuźnica” była pismem walczącym, ofensywnym, oryginalnym, wiecznie fermentującym intelektualnie.

„Polityka” jest pismem defensywnym, nieoryginalnym, anemicznym, intelektualnie martwym. („PO PROSTU”).

Proporcja

„Prawda jest, że jeden kalwinista oświadczył mi, że ludzkość została podzielona na rasy — białą i czarną zgodnie z wielkością pierwotnego grzechu popełnionego przez przodka danej rasy”. („THE MANCHESTER GUARDIAN WEEKLY” — O RASIZMIE W UNII POŁUDNIOWO-AFRYKAŃSKIEJ).

Pisać jest teraz szalenie ciężko. Wszyscy pieją na cześć nowoczesności, robiąc przy tym takie miny, jak nieświadomione jeszcze dzieci w szkole, które doskonale wiedzą, o co chodzi, i jak się to robi, a tylko nie chcą powiedzieć przez przekorę. Przegryzłem się ostatnio przez kilkadziesiąt artykułów i mam wrażenie, że mniej więcej złapałem już, o co chodzi. Utwór bezwzględnie nowoczesny musi być, po pierwsze, dosyć trudny, bo jeżeli każdy go zrozumie, to już nie to. Po wtóre, należy zerwać w nim radykalnie z idyotyczną, staroświecką konwencją narracyjną, polegającą na tym, że niewolniczo i po porządku opisuje się, co zrobił Piotr, kiedy zobaczył rozdziewającą się Ludwikę, i jak Ludwika wtedy wyglądała (oknem). Lekkie nadsucie moralne, które musi wiązać się integralnie z tkanką tego nowoczesnego utworu, rozumie się samo przez się. Po czwarte, musi tam chodzić o masę rzeczy na raz, ale to tak, żeby nie wiadomo było dokładnie, o co, bo jeżeli wiadomo, to już jest trywialny, płaski, mały realizm. To znaczy, utwór musi być wieloznaczny i trochę dziwny, ale znowu nie za bardzo, żeby nie wyglądał na pogoń za oryginalnością za wszelką cenę. Rzeczy silniejsze, w rodzaju kazyrodrzwa należy odświeżyć (np. współzycie syjamskich bliźniąt), albo umieścić w przyziemnym pełnym niedomówień, a drugim, a jeszcze lepiej na trzecim planie. Na pierwszym planie może się przez ten czas dziać bardzo mało — prawie nic, ale musi tam być kupa rozmaitych podtekstów, które stwarzają napięcia kierunkowe. Po piąte (czy może już po szóste?) musi tam być wielka synteza filozoficzna, coś nawiązującego do Rzeczy Prastarych w Człowieku, jakiś taniec znaczący wokół problemów Ludzkości i Bytu, ale broń Boże nie dyskursywnego — tu znowu przychodzi z pomocą podteksty i przemilczenia. Dalej, niezbędna jest pewna sprzeczność elementów, na tyle konstruktywna, żeby się coś działo, ale na tyle niejednołita, żeby tego w żaden sposób nie dało się opowiedzieć „własnymi słowami”, bo wtedy koniec z nowoczesnością. Charakterologiczna konsekwencja postępowania jest absolutnym anachronizmem, podobnie jak wszelkie ideały, żywione przez bohaterów, chyba, że chodzi o niewidzialnego psa bohaterki, który się nazywa Ideal, i którego ona żywi. Ale coś takiego już było, bodajże u Girodoux. Jak z tego widać, wymyślić prawdziwie nowoczesny utwór jest szalenie ciężko, ale muszę to koniecznie zrobić, bo inaczej teraz nie można.

Po pewnym namyśle doszedłem do przekonania, że należałoby napisać coś o diable, ale tak go unowocześnić, żeby go sam diabeł nie poznał. Przeciw wszelkie rogi, ogony, kopyta itp. rekwizyty. Do diabła, tj. do licha z prymitywną eschatologią, z piekłem, z Dobrem i Złem. Pozbawiony zewnętrznych znamion swego diaboliczności, diabeł ów musi jednak być jej nowoczesną esencją, a wszystko, co się z nim będzie działo, należy podać za pośrednictwem napomknąć, i do tego przemieszać sztych czasowy, to znaczy najpierw napisać wszystko w zwyczajnym porządku, a potem pociąć tekst nożyczkami i przetasować.

Ustaliwszy z grubsza te wstępne wytyczne, posuwałem się dalej na drodze swobodnego kojarzenia i rozważań, co należało, uznałem, że uczynienie z diabła osoby, bodajże i wypranej z elementów banalno-piekielnej powierzchowności nie wystarczy, ale że muszę go nadto specjalnie i dodatkowo ukształtować, bo co to za nowoczesny diabeł, którego każdy z czytających rozpozna w szóstej linijce tekstu.

Postanowiłem uczynić go zatem rodzajem jedynej w swym rodzaju składanki: w moim utworze będą pojawiać się rozmaite osoby, sześć, czy siedem, a diabeł nie będzie istniał obok nich, ani też nie będzie żadną z nich, ani nie będzie się zwiadywał nikomu, ani nie będzie niczyją halucynacją, ani czystą Ideą, bo to już wszystko było — ale będzie on składany: składać się nań będą, powiedzmy, lewa noga panny W.,

pierś doktora Z., rece pisarza J.H. i głowa aptekarzowej Y.

Ta koncepcja przypadła mi do gustu. Na smakowaniu jej i wynikających z jej zastosowania nowoczesnych możliwości stawiłem popołudnie. Wyznam, że byłem z niej wcale rad, choć może z początku wydała mi się zaledwie prosta. Wyobrażałem sobie w zaleźkowo-szczątkowej postaci rozmaite sytuacje, w których mój składany diabeł poczynił manifestować swoje Istnienie, na sposób nowoczesny, a więc nie żadnym tam gadaniem, myśleniem czy opisywaniem działaniem, ale samymi, gołymi podtekstami i napięciami kierunkowymi. Doszedłem w tym procederze do pewnej wprawy i byłem już wcale niezłej myśli.

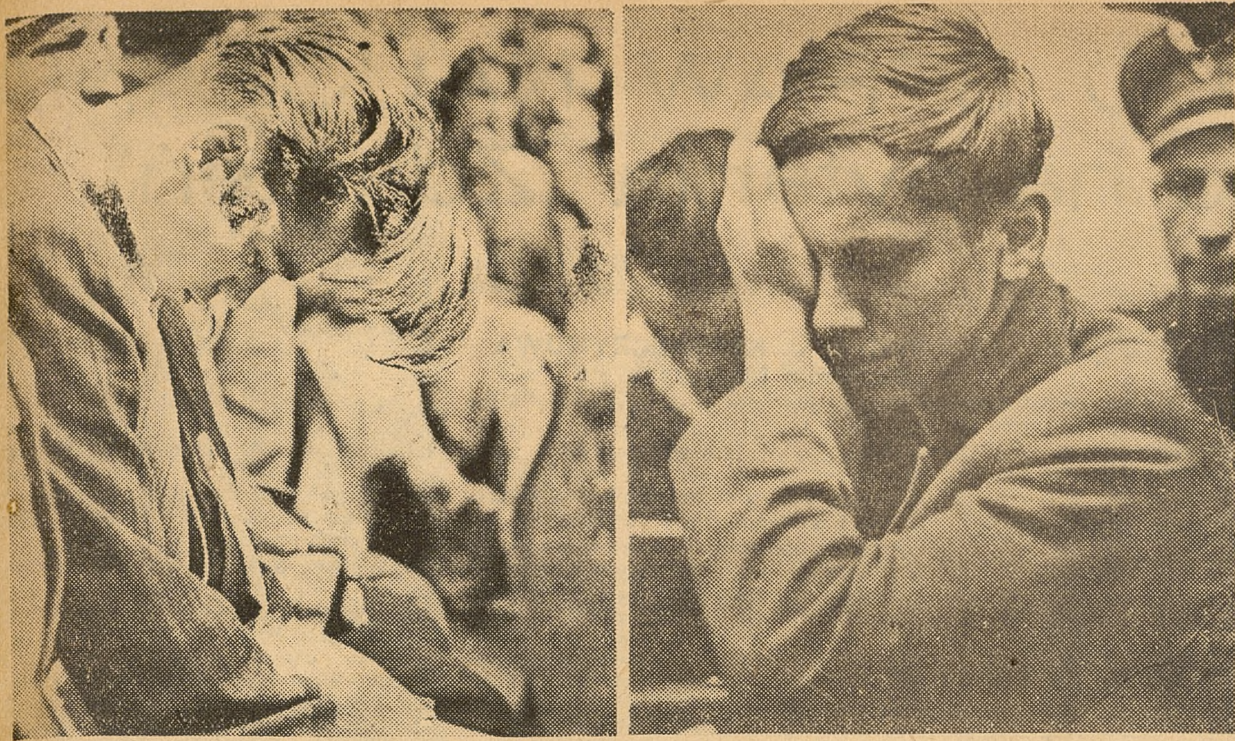
Pomyślałem, że to będzie opowiadanie, objętości około dwu arkuszy, że je poślę do Twórczości, i że powinien wydrukować z końcem roku, a może już w październiku, i złapałem się na tym, że nie mam wcale tytułu, ale to zawsze była moja słaba strona, więc odłożyłem tytuł na później.

Wróciwszy do diabła, poskładałem go na nowo z różnych rąk, nóg i części szeregu osób i doszedłem do wniosku, że za mało w tym wieloznaczności, jałem doszukiwać elementy i koncepcje filozoficzne. Diabeł, nieprawdaz, to coś bardzo starego, ale diabeł składany — to znowu całkiem nowe; powinien on nie wiedzieć o własnym diabełstwie, albo lepiej wiedzieć i nie brać go na serio, bo element autoironii i groteski jest także szalenie ważny. Jednakże nawet na tym stadium całość przedstawiała mi się za jasno, za prosto, za racjonalnie: ten mój diabeł miał rękę i nogę, na czym traciła ogromnie nowoczesność. Postanowiłem, między podtekstami i napomknieniami, dodać trochę ustępów całkowicie dezorientujących, takiej plazmy słownej, zamacającej tok główny, związanej z akcją tylko asocjacyjnie, pod postacią zdegenerowanych, odprysków strumienia świadomości jak gdyby narratora, ale niezupełnie, bo narrator klasyczny też już nie wchodzi w grę.

Tymczasem zrobiło się ciemno, a miałem jeszcze bardzo mało. Był diabeł, to prawda, ale przestawał mi się z chwili na chwilę podobać. Mówiąc prawdę, wiało od niego piekielną nudą. Wyrzuciłem go na próbę w czorty i nie miałem już nic, albo, mówiąc językiem egzystencjalistów, ugiąłem się pod brzemieniem wolności, niczym nieograniczony przed pustym arkuszem papieru.

Potem poszedłem spać i nie mogłem zasnąć z powodu diabła. Dostrzegalem w nim mimo wszystko pewne plusy. Powoli stawał się moją udręką, moim garbem, ostatecznym nieszcześciem. Rozrastał mi się w mózgu jak dąb. Przy tym wszystkim nie miał nic do powiedzenia. Stawałem się niewolnikiem jego zagadkowych milczenia i przekiętej zbiorkowo - składankowej postaci. Miał mnie już prawie na własność — byłem ledwo drobnym dodatkiem do jego Wielkiego Istnienia, które przynależało mu, jak góra.

Potem zasnęłam i śniło mi się, że jestem w wydawnictwie, i każą mi wykreślić w maszynopisie mojej książki słowo „pot” tam wszędzie, gdzie jest mowa o robotnikach. Dialekt „dolno-niemiecki” miałem zmieni na „dolno-faszystowski”. Do pewnego negatywnego typu miałem dorobić pozytywną przeciwwagę na półtoje strony. Narzekania średnio-roznego miałem zneutralizować najpóźniej trzy strony dalej krótką prelekcją oświatową. Tam, gdzie koń rżał smutno, miałem zamienić jego właściciela na sadystę-kulaka, scenę toczenia piwa z beczki zastąpić sceną toczenia młotów na tokarni, podorabiać uśmiechy, a gdzie trzeba, powstawać okrzyki na cześć. Klóciłem się zęb za zęb jak szalony i na koniec wytargowałem piwo w zamian za dwa skreślone, spoczone czoła. Obudziłem się szalenie zmordowany, jak bym wychodził ze snu na jaw przez takie sitko, przez które wykreca się makaron — i zadrżałem. Nie było żadnego Wydawnictwa, żadnych Redaktorów, żadnych rozkazów, żadnych dyrektyw — była tylko próżnia, zwana Nowoczesnością, w której czekał na mnie mój męczyciel: diabeł.



Gorzel, który zabił rodziców i 14 letni Januszek, brat. Został teraz zupełnie sam. Jak ułoży się jego życie?
I czy z takiego urazu można się kiedykolwiek wyleczyć?

(Dokończenie ze str. 1)

podkreślał sam oskarżony. Tymczasem...

PREMEDYTACJA

Kasperkówna zeznała przed prokuratorem, że Ryszard Gorzel, skazując się na rodziców przeciwnych ich związkowi, zapowiadał: — Otruje ich, a jak nie dostanę trucizny, to poradzę sobie inaczej.

Narzeczona miała go wówczas uderzyć lekko w twarz.

Gorzelowie zgodzili się na ślub, ale ich opinia o wybranej syna nie uległa zmianie. Nigdy się z tym nie kryli.

Kilka dni przed morderstwem Gorzel przyniósł ze swojego warsztatu...

nie — spokojnie mówi przewodniczący.

— Ja sam nawet nie wiem, co miałem w tym czasie na myśli. Przyszedł dzień, że pisałem jedno, przyszedł dzień — że znów co innego...

Ale w rzeczywistości geneza tego grypsu tłumaczy się odmiennie. Żeby ją odnaleźć, trzeba wpiąć uszyść to, co mówili świadkowie.

CENZUS WIELKIEJ MIŁOŚCI

— ...Opowiadała, że Rysiek kocha ją tak bardzo, że zdolny jest zamordować nawet matkę, gdyby ta sprzeciwiała się ich małżeństwu, nawet oboje rodziców...

— Nie raz mówiła, że nie „uważa” miłości bez zbrodni...

Biegły określił Gorzela jako psychopata, człowieka o umysłowości nie zwykłe prymitywnej, niezdolnej do tzw. uczuć wyższych. Jedyńą osobą, którą Gorzel kochał, z którą się liczył — była Kasperkówna. I czy aby nie jej autorytet dał, choćby tylko w sensie pośrednim, załazek sprawy Gorzela?...

TRAGEDIA

W TAKT ROCK'N'ROLLU

— Tak — odpowiada sądowi Danuta Kasperk — kocham go jak dawniej i w każdej chwili wysłabym za niego za mąż.

— A więc świadek jest bardzo przejęty tym co się stało?

— Pewnie, że tak... — mówi Kasperkówna z pogodnym uśmiechem. Na to prokurator:

— Dlaczego zatem po aresztowaniu narzeczonego świadek z miejsca zaczęła się bawić na dancin-gach, w towarzystwie innych mężczyzn?

— Ależ poszłam tylko raz, z koleżanką i bratem...

Jeden z miejscowych dziennikarzy porozumiewawczo spogląda w moją stronę. Tak, rozumiem, pamiętam. Wczoraj — kiedy nie dało się przecież przewidzieć o czym będzie mowa w sądzie — opowiadał mi, jak spotkał znajomą w towarzystwie ładnej, wesołej dziewczyny, jak przyjemnie tańczyło się w lokalu, gdzie Danusia (nazwiska miał się dowiedzieć później) wyznała partnerowi, że nudzi ją i drażni szarzyzna lubelskich dni. Ze chęciąaby przeżyć przygodę wielką, niezwykłą, porywającą.

Było to na parę dni przed rozprawą Ryszarda Gorzela.

MOŻE I TO JEST PRZYGODA

Lublin to rzeczywistość nie metropolia, wszyscy się tu znają, wszyscy coś o sobie wiedzą. Ryszard Gorzel składał wyjaśnienia w śledztwie, a Danutę Kasperk widywano wieczorami na ustronnych uliczkach i mrocznych skwerach — nie samą.

W przededniu procesu napisała do sądu prośbę o pozwolenie na ślub, którą dalej podtrzymuje. Fotoreporterzy rzucili się ku opuszczającej podium dla świadków, aby utrwalić na kliszy niezmierzłą tkliwość spojrzenia przesłanego oskarżonemu.

...Kiedy sąd zarządził przerwę polecając świadkom zatrzymanie się w poczekalni, Kasperkówna uśmiecha się do obserwujących ją dziennikarzy i proponuje:

— Opowiedzielibyście panowie jakiś kawał, nudno tutaj...

KASPERKÓWNA MA 19 LAT

Na 48 godzin przed ogłoszeniem wyroku obrońca będzie mówić o plotkach, domysłach, ba, — legendach, jakie snują się w Lublinie wokół tej niecodziennej sprawy. Byłam tam obca, ludzi nie znam i trudno mi zarezyczyć, ile prawdy jest w zwierzeniu kogoś z bliskiego otoczenia Kasperkówny:

— Mówiła, że jak jej pozwolą na ten ślub, to przynajmniej będzie miała ciuchy i mieszkanie.

Kasperkówna ma 19 lat. Dba o siebie, umie się dobrze ubrać. Pod foremną fryzurką twarz ładna, wdzięczna, żdziwiony uśmiešek, którego nawet prokuratorowi nie udawało się spłoszyć, spojrzenie zbyt szczerze, aby nie zastanowić się co też za nim w rzeczywistości się kryje.

Na szyl w głębokim wycięciu bluzki, łańcuszek. Kiedy woźny wywołuje:

— Świadek Danuta Kasperk... Dziewczyna ruchem nieco filmowym wyjmuje spoza dekoltu złoty krzyżyk,

W numerze 7 „Zdarzeń” w „Okienku problemów aktualnych” postulowaliśmy, aby Międzynarodowe Targi Księgarskie nie odbywały się — jak dotąd — w Poznaniu, ani też — jak chcą niektórzy — w Warszawie lecz właśnie w naszym mieście, właśnie w Krakowie.

W związku z naszym materiałem postanowiliśmy zwrócić się o opinię w tej sprawie do ludzi mających w tej materii najwięcej do powiedzenia. Tak więc odwiedziliśmy osoby najwięcej w Krakowie „kompetentne”. Pierwsze dwie rozmowy w tej sprawie podajemy naszym Czytelnikom poniżej:

Oto jesteśmy u doświadczonego wydawcy, dyr. Krakowskiego Wydawnictwa Literackiego dra Aleksandra Slapy.

— Co sądzi pan o możliwości zorganizowania Międzynarodowych Targów Księgarskich w Krakowie?

— Wybór środowiska bardzo trafny. Żadne miasto w Polsce w tym stopniu co nasze nie odpowiada warunkom, w jakich chciałoby się widzieć tę imprezę.

— Co myśli pan o możliwości udziału wystawców zagranicznych?

— Myślę, że z pewnością nigdzie nie czuliby się na targach księgarskich tak dobrze jak właśnie w Krakowie. Sama architektura budynków i wnętrz, sam charakter naszego miasta rzeczy za to, że będzie to najszybsze miejsce tego typu targów. Wielu cudzoziemców zna, o ile nie z pobytu to z lektury i słyszenia gród podwawelski. Sądzę, że dla atrakcyjności targów miejsce byłoby wybrane bardzo dobrze.

— A dla samego miasta?

— Oczywiście jak najbardziej korzystne. Wiadomo, że taka impreza nie należy do deficytowych...

— Czy spodziewałby się Pan jakichś poważniejszych trudności w zlokalizowaniu tej imprezy w Krakowie?

— No, trudnością jest chyba to, że właściwie najważniejszym ośrodkiem wydawniczym nie jest Kraków, ale — Warszawa. Są-

OKIENKO PROBLEMÓW AKTUALNYCH

dze wszakże, że nie jest to argument obalający samą myśl, która jest interesująca... Należałoby oczywiście wejść w kontakt w tej sprawie z PTKW no i „Słowa-rzyszeniem Księgarzy”. Może dałoby się...

Dziękując za rozmowę ruszamy dalej. Na pytanie pierwsze, takie samo jak wyżej, odpowiada b. dyrektor Ossolineum, dziekan Wydz. Filozoficzno-Historycznego PWSP, prof. dr Zarebski.

— Inicjatywa wasza godna jest pełnego poparcia. Uważam, że tradycje Krakowa, kolebki polskiego drukarstwa, miasta bibliofilów, bogatych zbiorów księgarskich no i świetnych fachowców są wystarczającą rekomendacją dla wyboru miejsca targów. Poza tym chcę podkreślić, że w Krakowie jest wielu starych, doświadczonych księgarzy, którzy miewali kiedyś kontakty z zagranicą, specjalnie chyba z Lipskiem. Odnówienie tych kontaktów przyniosłoby z pewnością niezłe rezultaty. Sądzę, że o urzędzeniu takiej imprezy należałoby porozmawiać z ludźmi — fachowcami takimi jak prof. Zapiór, Klimkowicz, Wilczyński, Nowak, Krzyżanowski, Pieczętkowski i innymi.

— A co myśli pan o korzyściach z takiej imprezy dla Krakowa?

— W Warszawie byłaby to jedna z wielu imprez. W Poznaniu — tam przecież i tak odbywają się Targi. Dla naszego miasta byłoby to bardzo wiele. Tym więcej, że istotnie aż prosiłoby się połączyć taką wielką i ciekawą imprezę z Dniami Krakowa...
Dobra myśl, popieram.

Oskarżonemu konflikty światopoglądowe raczej słu o powiek nie spędzały. Natomiast Danuta Kasperk jest wierząca i jako jeden z warunków postawiła ten, aby ślub odbył się w kościele.

EKWIWALENT

Ryszard Gorzel skazany został na karę śmierci. Zapewne p r z y g o d a tej miary już się w życiu Kasperkówny nie powtórzy. Jest wystarczająco sprytna i po mieszczańsku ostrożna, aby z innych, pomniejszych, także wybrnąć bez szwanku. Z czasem wyjdzie za mąż, zapracuje się, zbrzydnie, urodzi sporo dzieci. W niedzielę, po mszy, będzie się wykłócać z mężem, który spóźnił się na obiad i omawiać w gronie sąsiadek przepis na placek z wiśniami, ceny mięsa i salaty, własny i cudzy los.

Ryszard Gorzel postąpił zgodnie z zapewnieniami. Dał taki sprawdzian swoich uczuć, jakiego sobie życzyła jego narzeczona. I jeśli nawet Kasperkówna nie wywalczy po straconym mieszkaniu, mebli i „ciuchów” — to bez wątpienia wystarczy jej inny, psychiczny ekwiwalent w tej spr-

wie. Oto zaszło coś, co na parę miesięcy zmiało c o d z i e n n o ś ć życia. Cała Polska uczyła się ze szpałt prasy jej, Danuty Kasperk, nazwiska. To na jej widok szmer emocji przebiegał po sądowej sali. I jak w filmowym atelier, jak w owej wytęsknionej wielkiej przygodzie, ona, Danuta Kasperk mogła się uśmiechać do obiektywów zagradzających przejście obok ławy, gdzie pisał ze strachu Ryszard Gorzel, spowiedziując się wyroku śmierci.

DWUGŁOS O LITOŚCI

A wyrok jest coraz bliżej. W tej sprawie dysproporcja między argumentami stron balansuje się przewagą prokuratora.

— Panowie sędziowie — woła obrońca — miejcie litość nad ludzką nędzą...

Słyszę za plecami głębokie westchnienie. Odwracam się; patrzy na mnie nieznana kobieta.

— Cóż tu mówić o litości, proszę pani... Taką rzecz, taką straszną rzecz, tylko dwoje ludzi mogłoby wybaczyć na świecie: ojciec i matka,

ANNA STROŃSKA



— To jest dla mnie wstrząs oczywiście — mówi uśmiechnięta Danuta Kasperk,

Reportaż: NIE WIEM DLACZEGO ZABIŁEM

tu wielki młotek, absolutnie nie przydatny do rzekomej naprawy kotła w piecu kapielowym.

Sześciokrotny cios w głowę matki, dziewięciokrotny — w głowę ojca, miał być, jak twierdzi — niezamierzona konsekwencja sprzeczek.

Mieszkanie Gorzelów jest niezwykle akustyczne, nawet sąsiedzi słyszają każdą głośniejszą rozmowę. W mieszkaniu — kilkanaście metrów od sypialni — byli brat i bratowa denata. Sprzeczek nie słyszał nikt.

Ryszard Gorzel kilkakrotnie wracał się do swych ofiar, żeby je dobić. Po zalanej krwią podłodę poruszał się tak ostrożnie, że najmniejszy ślad nie został na podszwach obuwia. Bezpośrednio po zabójstwie — sam to potwierdza — zdjął z ręki ojca zegarek, zabrał pieniądze z torebki matki, zdemolował zawartość szafy, pozorując mord rabunkowy. Poszedł do pracy, rozmawiał z ludźmi, powróciwszy do domu zjadł śniadanie i wówczas dopiero zaalarmował stryjenkę. Osobiście dzwonił po Milicję, w śledztwie odgrażał się funkcjonariuszom, montował fałszywe poszlaki przeciw niewinnemu człowiekowi, pisywał do Danuty Kasperk grypsy pełne cwaniackiego optymizmu. W celi śpiewał, gwizdał, a na drzwiach wydrapał paznokciem datę mordu w otoczeniu imion „Danka i Rych”.

— To nie są łyzy skruchy, Wysoki Sądzie, — powiedział prokurator — ten człowiek płacze ze strachu...

GRYPSY

Drobnym, gestym piśmem, na niewielkich ówciarkach papieru Gorzel pisał do narzeczonej:

„Jak wyjdę z więzienia, to potrafię stokrotnie wynagrodzić tych, którzy mi dopomogli... Jak wyjdę po rozprawie, będę na wolności, to zrozumiesz, co to jest prawdziwa miłość, która jest gotowa na największą zbrodnię...”

— Co miały oznaczać te słowa w grypsie? — pyta przewodniczący.

— Proszę Wysokiego Sądu, ja pisałem pod wpływem tych, którzy ze mną siedzieli...

— Proszę odpowiedzieć na pyta-

Sąd zarządza konfrontację Kasperkówny ze świadkami Kijak i Wójcik. Czy istotnie takie, a nie inne były jej zwierzenia wobec przyjaciółek?

Kasperkówna śmieje się:

— Skądże, na pewno nie...

Ale Kijakówna, mniej solidarna od momentu, gdy Sąd powiadomiony został o jej uwadze „nie łam się Danusiu, wszystko w porządku”, przestaje bawić się w skrupuły. Przyjaźń przyjaźnią, trzeba jednak pomyśleć i o własnej skórze. Ostentacyjnie padło już na tej sali przypomnienie odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania.

— Mówiłaś — woła tonem zdesperowanym — to jest prawda, na pewno!

Kasperkówna nie ma powierzchowności heroiny czwartorzędnego romansu. Nie wygląda na czytelnicką dziewczynę, w których pejzaż podmiejskich latarni, apasowskiego tanga i szczyrych krajałego pierś niewiernej wdzięcznie komponuje się z ilustracją stosownych uczuć. Zresztą utwory tego typu dawno przestały wychodzić, jeśli idzie o Kraków, to można je za ciężkie pieniądze nabywać tylko na tandencie. Nie wiem, jak jest w Lublinie. I nie wiem też, jaką — bo nie tylko chyba drukowaną — drogą doszła Kasperkówna w swoim credo do pierwszych stopni wtajemniczenia.

DZIEJE AUTORYTETU

— Co za dno głupoty — śmieje się mój sąsiad. — Kurzy, tępy mózdek...

Można patrzeć i tak. Ale czy w najbliższym otoczeniu, wśród koleżanek, przyjaciół — Kasperkówna również uchodziła za głupią? Czy Kijakówna, Wójcik i wiele innych dziewcząt, których opinie tu się przytacza, kpiły z wynurzeń narzeczonej Gorzela?

Głupota bywa niegroźna, nawet śmieszna, tylko do czasu. Kiedy jednak zaczyna porastać w autorytet — trzeba już na nią patrzeć innymi oczami.

Czasem nawet tak nie zwyczajny przewód sądowy rzuca ostre, ostrzegawcze światło na problem, który zostaje — bo nie w mocy sądu leży jego rozwiązanie.

PROREKTORZY DO SPRAW NAUCZANIA odpowiadają na pytania „Zdarzeń”

ANKIETA

1. Jaki charakter mają egzaminy wstępne na wyższe uczelnie w roku bieżącym?
2. Czy ilość miejsc dostosowana jest do bazy materiałowej i środków dydaktycznych?
3. Kto z ramienia uczelni i organizacji młodzieżowej zajmuje się sprawą zatrudnienia absolwentów?
4. Czym można uzasadnić wysokie odsiewy wśród młodzieży akademickiej?
5. Czy mamy nadprodukcję inteligencji?

Prof. dr ADAM BOCHNAK
(Uniwersytet Jagielloński)

W roku bieżącym, wobec nadmiernej ilości zgłoszeń, egzaminy wstępne stały się konkursowymi. Jedynie na filologię rosyjską i socjologię ilość zgłoszeń nie przekracza posiadanych limitów.

Ogólna ilość miejsc wynosi 765 wobec 845 w roku ubiegłym.

Największa ilość zgłoszeń wpłynęła na prawo bo aż 600 (miejsc 160) i na filologię polską — 300 (miejsc 90). Z ogólnej ilości zgłoszeń 2383 przypada na kobiety 1333. A więc kobiety jeszcze raz góra.

Sprawami pośrednictwa pracy zajmuje się specjalna komisja złożona z pracowników nauki oraz przedstawicieli młodzieży. Problem zatrudnienia absolwentów jest psychicznie rozkładający. Pewne kłopoty mamy z zatrudnieniem prawników, ale one odpadłyby, gdyby rozprowadzenie w terenie było racjonalne. (Niektórzy grymaszą i bronią się nawet przed Rzeszowem). Poza tym absolwenci wykazują dużo własnej inicjatywy na odcinku zatrudnienia.

Podniesienie poziomu studiów uwarunkowane jest podniesieniem poziomu nauczania w szkołach średnich a także pod-

niesieniem i rozszerzeniem znajomości języków obcych. Znajomość jednego względnie dwóch języków dziś już nie wystarcza. Istniejące na uczelni lektoria, przy skąpej ilości godzin, nie mogą sprostać swemu zadaniu.

Stawiając wyższe wymagania wobec studentów należy poprawić ich sprawy bytowe (nie wyłączając oczywiście spraw żołądka) oraz udostępnić odpowiednie podręczniki i skrypty.

Prof. mgr inż. JAN MANITIUS
(AGH)

Jeszcze w roku ubiegłym niektóre wydziały posiadały niedobór studentów. W roku bieżącym mamy już nadmiar kandydatów wyrażający się cyfrowo 2,18 kandydata na jedno miejsce. Na wydziale mechanizacji górnictwa i hutnictwa oraz elektryfikacji wskaźnik ten jest znacznie wyższy.

Do niedawna nie mogło być mowy o jakiejś proporcji między ilością studentów a bazą materiałową i środkami dydaktycznymi. U nas była masówka. Profesorowie egzaminowali niekiedy 2000 studentów. Obecnie zmierzamy do jakiejś równowagi.

Największe odsiewy są na pierwszym i drugim roku. Na pierwszym roku wyniosły one 23 proc., na drugim 18 proc. Nie jest to jednak tragiczne jeżeli zważymy, że w całym niemal świecie tzw. sprawność nauczania praktycznie wynosi ok. 60 proc. (tzn. ok. 60 proc. przyjętych na pierwszy rok winno ukończyć studia).

Przyczyny odsiewów tkwią — moim zdaniem — w pewnym rodzaju wytrąceniu młodzieży przez wypadki polityczne, podniesieniu wymogów oraz w zbyt młodym wieku młodzieży. (Szkoła średnia trwa za krótko).

Problem zatrudnienia absolwentów zasadniczych wydziałów AGH w chwili obecnej nie istnieje. Swego rodzaju problem stanowi zatrudnienie kobiet posiadających specjalność z zakresu przemysłu ciężkiego. Zakłady pracy zgłaszają wolne miejsca z zastrzeżeniem jednak, aby nie kierować im kobiet. Nie są to objawy dys-

kryminacji. Nie każdemu bowiem stanowi w ciężkim przemyśle może podobać się kobieta.

Prof. dr J. KOWALCZYKOWA
(Akademia Medyczna)

Dopuszczeni zostali do egzaminów tylko kandydaci legitymujący się maturą ogólnokształcącą. Wyjątkowo zwolnieni są z egzaminów repatrianci oraz felczerzy posiadający bardzo dobre wyniki tak w nauce jak i w swojej pracy felcerskiej.

Problem odsiewów — to zjawisko skomplikowane, wywołane całym zespołem przyczyn warunkujących się nawzajem. Ustawienie szkoły średniej nie było właściwe, a jej programy sprzyjały nie pogłębieniu lecz spłycaaniu wszelkich wiadomości. Na wyższej uczelni nie każdy mógł podjąć zasadzie „produkcji” na komendę i w określonym terminie. Studia medyczne są trudne, wymagają od studenta kondycji fizycznej, odpowiedniej aury psychicznej do nauki — czego bardzo często brak.

Egzaminy konkursowe winny przyczynić się do pozyskania jak najlepszego elementu, a zmniejszanie rekrutacji usuwać będzie stopniowo dysproporcję między bazą materiałową a ilością studiujących.

Jeżeli do tego rozłożymy materiał studiów na okres lat 6 (na farmacji — 5) i ograniczymy studiowanie do dyscyplin podstawowych obniżając ilość zajęć do 30 godzin tygodniowo — powinniśmy uzyskać zadowalający poziom studiów. Nie mówię o ulepszonej programie studiów, który już został opracowany i należytem zaopatrzeniu studentów w podręczniki i skrypty. Nadmiaru lekarzy jeszcze nie mamy.

Doc. mgr inż. JERZY WEBER
(Politechnika Krakowska)

Egzaminy wstępne na naszą uczelnię mają już od ubiegłego roku charakter konkursowy. Ilość miejsc na poszczególnych wydziałach przedstawia się następująco: architektura — 40 (ub. r. — 60), bu-

downictwo lądowe — 100 (ub. r. — 210), budownictwo wodne — 40 (ub. r. — 90), wydział mechaniczny — 110 (ub. r. — 180). Ilość zgłoszeń jest 3 a nawet 4-krotnie wyższa od posiadanych limitów. Nasza baza a szczególnie pomieszczenia są stanowczo niewystarczające.

Koordinacja zatrudnienia absolwentów należy do 4-wydziałowej komisji w posiadaniu której znajdują się zapotrzebowania różnych zakładów pracy. Sytuacja zatrudnienia absolwentów jest dobra. Otrzymują sporo propozycji do wyboru.

Odsiewy przy egzaminach były duże, szczególnie na wydziale lądowym i architektury. Na wydziale mechanicznym, gdzie zastosowano bardzo ostry egzamin konkursowy, odsiewy były minimalne. Na architekturze zdany egzamin konkursowy nie daje pełnej gwarancji przydatności studenta do stud. Dlatego pierwszy rok jest niejako przedłużeniem egzaminu konkursowego i dopiero sesja egzaminacyjna dokonując odsiewów pozostawia najlepszy element.

Odsiewy są wynikiem gwałtownego podniesienia wymogów wobec studentów przy równoczesnym zniesieniu dyscypliny studiów. Doprowadziło to do poważnego rozluźnienia i zaniedbywania systematycznej nauki wśród młodzieży.

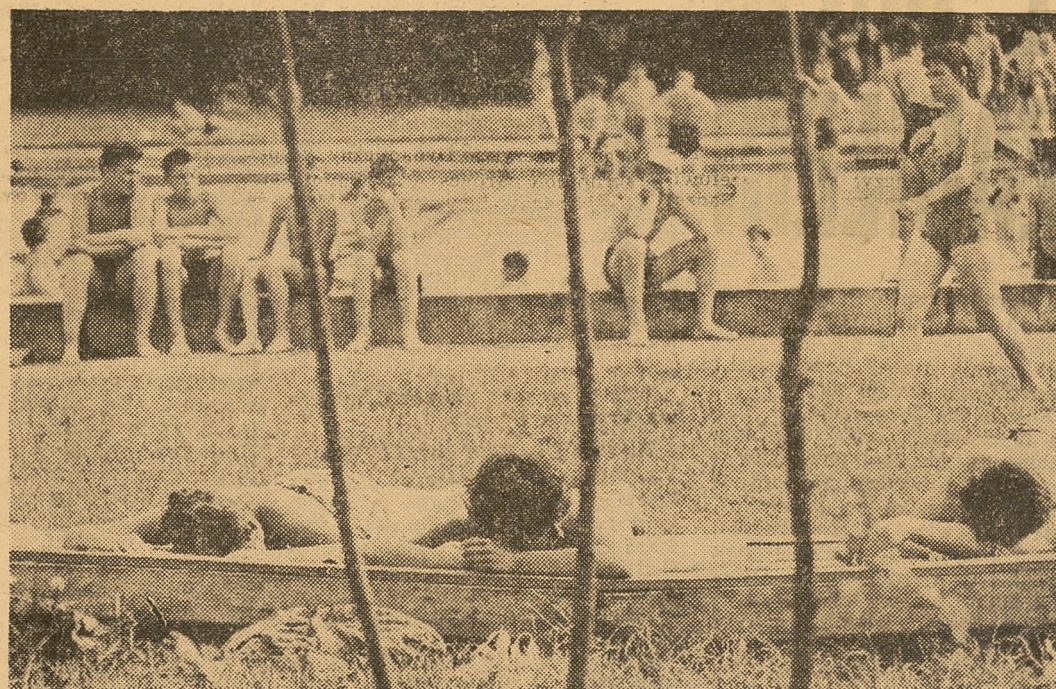
Bardzo poważny odsetek młodzieży nie interesuje się swoim przyszłym losem — uczy się byle zdać, lecz nie studiując.

Do podwyższenia poziomu studiów przyczyni się niewątpliwie obniżenie limitu rekrutacyjnego, ostry egzamin konkursowy, który wyłoni najzdolniejsze jednostki, otoczenie studentów większą opieką ze strony pracowników nauki, którzy do tej pory pomagali i opiekowali się „najsłabszymi” zamiast rozwijać umysł młodzieży utalentowanej. Z drugiej strony muszą ulec poprawie materialne i bytowe warunki studenta a także techniczne wyposażenie uczelni.

Nadprodukcji inteligencji technicznej nie mamy.

P o w ó z jak z bajki

O delfinach — ssakach morskich — krąży wiele legend, przypisujących zwierzętom niemal człowieczy rozum. Ile w legendach jest prawdy pozwalają przekonać się pierwsze wielkie doświadczenia dokonane w gigantycznym akwarium na Florydzie (USA). Akwarium florydzkie to laguna oddzielona od oceanu specjalnymi foliówkami. Wokół laguny rozmieszczono baseny napełnione „bieżącą” wodą morską. W tych basenach właśnie przeprowadza się doświadczenia z delfinami. Okazało się, że delfiny szybko przywykają do ludzi, dają się łatwo oswoić. Szczególnie przyzwyczajają się do osób podających im pożywienie. Pożywienie podawano zwykle doświadczalnemu delfinowi przy odgłosie dzwonu, bijącego tuż nad powierzchnią basenu. Po pewnym czasie delfiny nie potrzebowały już wezwania dzwonu. W godzinach podawania im jedzenia podplwały do miejsca, gdzie oczekiwała je uczta, wystawiały łby z wody, jakby przypominając, że czas obiadu już nadszedł. Od tych prymitywnych doświadczeń z karmieniem zaczęła się... tresura delfinów. Obiektem tresury został sympatyczny delfin Flippy o wadze 105 kilogramów o dwumetrowej długości ciała. Flippy szybko nauczył się wielu skomplikowanych czynności. Podobnie jak psy — Flippy aportuje rzuczone do wody patyki i piłki tenisowe. Bardzo lubi uderzać w dzwon zawieszony metr nad wodą. Celuje w ćwiczeniach z obręczami. Ćwiczenia te przypominają żywo tresurę lwów w cyrkach. Zwierzę musi kilkakrotnie przejść przez obręcz, umieszczoną w tym wypadku w wodzie, zgrabnie wyginając swe długie, wielkie cielsko. Flipp demonstruje również często swe wspaniałe wyskoki nad powierzchnię wody i w takich warunkach daje sobie doskonale radę z całym systemem obręczy wykonanych z papieru. Gwoździem programu w występach tresowanego delfina Flippy jest numer z uprzężą. Otóż rzecz zupełnie rewelacyjna — na cielsko delfina treser nakłada specjalną uprzęż i zaprzęga do łodzi, w której znajdują się ludzie. Treser bierze w dłonie lejce i pojazd ciągnięty przez delfina rusza poprzez morze. Może już wkrótce oswoione delfiny ciągnąć będą... nie, nie, moi drodzy, tego rodzaju pojazdy nikt już nie bierze w dół podwodnych łodzi atomowych. Doświadczenia z delfinami mają charakter, mimo ich rozrywkowej formy, czysto naukowy. (2)



Przed udaniem się
NA WCZASY
— radzimy przeczytać

Mówi znany klimatolog prof. dr ANTONI SABATOWSKI

Większość ludzi pracy udając się na urlop bierze pod uwagę przede wszystkim atrakcyjność miejscowości wczasowej, a nie jej właściwości klimatyczne.

Czy nie zechciałby pan profesor doradzić naszym czytelnikom — charakteryzując właściwości klimatyczne miejscowości wczasowych — dokąd winni się udać, aby spędzić urlop z pożytkiem dla własnego zdrowia?

Na wstępie pragnę zaznaczyć, że zagadnieniem miejscowości wczasowych (letniskowych) za wyjątkiem uzdrowisk — nikt się u nas nie interesuje. Nie istnieje żadne biuro pośrednictwa, które by rozporządzało wyczerpującymi informacjami o różnorodności miejscowości wczasowych.

Bogactwem naszego województwa są rzeki kąpielowe. Dzięki swojej przejrzystości szybko się ogrzewają. Ale pomiarami wód ich temperatura i głębokość nikt się nie zajmuje, a czasowicz nie mają pojęcia o tych danych bardzo często po wczasach zamiast zdrowia przywozi ischias.

Poważna część mieszkańców miast nie zna najbliższych okolic. Dlatego w okresie wakacji letnich obserwujemy zjawisko masowej wędrówki z jednego krańca Polski na drugi. A przecież wszyscy nie pomieszcza się w uzdrowiskach, ani na koloniach. A zatem, jako palący problem wysuwa się na czoło konieczność pro-

pagowania i kierowania (szczególnie rodzin z dziećmi) do mniej znanych, lecz pięknych i wartościowych miejscowości wczasowych.

Rady narodowe w terenie mają wdzienne pole do działania. Powinny zakwalifikować szereg domów chłopskich, odpowiadających oczywiście określonym wymaganiom higienicznym, na domy wczasowe z ustaleniem odpowiedniej opłaty. To zachęci i innych gospodarzy do pewnych inwestycji. Płynące stąd korzyści będą nieocenione.

P. A może teraz słów kilka o właściwościach klimatu naszego kraju przemierzając go z południa na północ?

O. A więc góry wysokie. (Zakopane, Bukowina, Poronin itd.). Winni tam jechać ludzie młodzi i zdrowi, a także dzieci w wieku szkolnym. Charakterystyczną cechą klimatu górskiego jest rozrzedzone powietrze i poważne różnice temperatury w czasie dnia i nocy.

Taki klimat nie kwalifikuje się dla ludzi starych, zasiedziały i chorych. Klimat górski zmusza człowieka do większej ruchliwości (piękno przyrody spacerów i wycieczek, co dla mieszkańca miasta jest sprawą wielkiej wagi. Sprzyja ponadto odnowie krwi. Mieszkańcy miast mają z reguły niedokrwiłość. Klimat górski doprowadza gruczoły wewnętrzne do równowagi i zapobiega tyfii. Pobyt w górach — to swego rodzaju gimnastyka organizmu.

Ala miłośnicy kąpiei rzecznych nie mają tam co robić. Kąpiele bowiem w Białym Dunajcu mogą się skończyć ischiasem.

Góry średnie. (Wysokość ok. 500 m — Rabka, Szczawnica, Myślenice, Muszyna, Piwniczna). Posiadają klimat uniwersalny. Rzeki znajdujące się na tej wysokości mają już walory kąpielowe. A kąpiele rzeczne przywracają sprawność organizmu i w wysokim stopniu uodporniają organizm. Drobne choroby istniejące w organizmie całkowicie wygasają. Kąpiele rzeczne, słoneczne i spacer — to typowa profilaktyka naszego organizmu.

Tak więc klimat podgórski jest korzystny dla szerokiego rzeszy ludności. Jest on bowiem łagodniejszy od klimatu wysokogórskiego, posiada mniej opadów, nie ma gwałtownych zmian temperatury, jest w lecie bardziej słoneczny, no i... dostępne są na tych wysokościach jarzyny i owoce.

Niziny. (W dół biegu Wisły, dolne biegi Dunajca i Raby) są całkowicie niewykorzystane. Ludzie schorowani i o chwiejnym układzie nerwowym wypoczywają najlepiej na nizinach lesistych, które posiadają najłagodniejszy klimat.

Morze. Nasze morze jest stosunkowo chłodne i mało słone, a zatem posiada minimalną zawartość jodu. Ma dużo wiatrów powodujących falowanie powierzchni morza. Klimat ten pod względem termicznym jest dla organizmu obojętny. Wiatry wiejące od morza przynoszą bardzo czyste powietrze.

Kąpiele w morzu są ryzykowne, szczególnie dla ludzi cierpiących na kurczę jelit, kolki żółciowe i nerkowe, dla ludzi osłabionych, niedokrwiłych, reumatyków, cierpiących na zawroty głowy no i oczywiście epileptyków. Nie powinny się kąpać w morzu również dzieci do lat 6. Jeżeli ktoś po kąpielach dozna bólu głowy lub męczy go bezsenność — to niezbity dowód, że morze mu nie służy.

Ludzie bardzo nerwowi nie czują się dobrze nad morzem, ponieważ wiatr powoduje u nich bezsenność.

Świetnie natomiast wypoczywają i czują się doskonale ludzie przepracowani.

Kąpiele słoneczne nad morzem, a także kąpiele morskie dla zdrowego człowieka są jednakże doskonałe. Opalona skóra — to odporność organizmu, chociaż w pewnym sensie i... zabieg kosmetyczny. Ale dla chorego człowieka nie są wskazane ani kąpiele słoneczne, ani kąpiele morskie.

Rozmawiał
MIKOŁAJ KUPLOWSKI



HISTORIE

I NIE WÓDŹ NAS NA POKUSZENIE

W serii artykułów pod tym tytułem drukujemy za tygodnikiem zachodnio-niemieckim „Spiegel” nieznane szerszemu ogółowi fakty, których sekwencja doprowadziła do zrzucenia pierwszej bomby atomowej na Hiroszimę i dalszy rozwój tej straszliwej broni.

Badania uranowe nie posunęłyby się o wiele naprzód, gdyby amerykańscy uczeni oparli się wyłącznie na 6000 dolarowej pomocy rządu. Uniwersytety amerykańskie pod wpływem wydarzeń wojennych w Europie poparły utworzenie Narodowej Rady Naukowej dla celów obrony. Pieniądze na dalsze badania atomowe uzyskiwały uniwersytety z darów fundacji Carnegia i Rockefellera. Wszystkie większe ośrodki uniwersyteckie przystąpiły do badań i eksperymentów.

PIERWSZY PROTEST PRZECIW BOMBIE ATOMOWEJ

pochodzi z lata 1940 roku. 26-letni fizyk Volney Wilson, który na uniwersytecie w Chicago otrzymał polecenie obliczenia możliwości skonstruowania wybuchowej reakcji łańcuchowej i osiągnął pozytywne rezultaty, oświadczył swemu szefowi, Arthurowi Comptonowi: — Sądze, że bomba może być zbudowana. Proszę jednak o przeniesienie mnie do innego oddziału badań. Broń ta będzie miała tak straszliwą siłę niszczenia, że ja nie chcę mieć z tym nic do czynienia.

Podobnie postąpił Arthur Dempster. W tym czasie co i Wilson próbowali także Fermi i Teller (fizyk węglerski) wyobrazić sobie niszczącej siły bomby atomowej. Doszli do wniosku, że musi to być coś podobnego do upadku olbrzymiego meteoru na ziemię. Obawę przed tak olbrzymią siłą łagodziła myśl, że przecież broń ta ma być użyta prze-

ciwko barbarzyństwu Hitlera. W tym czasie Hitler zajął Francję.

Do usunięcia wielu skrupułów przyczynił się także Roosevelt, który z okazji Panamerykańskiego Kongresu Uczonych wygłosił przemówienie, nawołując do użycia wszelkich środków dla ochrony Ameryki i cywilizacji świata. Wilson i Teller powrócili do badań atomowych.

PIERWSZY REAKTOR JĄDROWY I MANHATTAN ENGINEERING DISTRICT

Badania poszły naprzód. Po kilku miesiącach Fermi dokonał tego, czego nie udało się uczonym niemieckim w ciągu całej wojny, zbudował mianowicie na stadionie sportowym w Chicago, przy użyciu bardzo prymitywnych środków, pierwszy reaktor jądrowy i w dniu 2 grudnia 1942 roku przeprowadził pierwszą reakcję łańcuchową. Teoretyczne obliczenia uczonych zostały eksperymentalnie dowiedzione.

Z wielkim pośpiechem powstały dziesiątki ośrodków badawczych i silnie strzeżonych miast atomowych. Budowano je na pustyni w Nowym Meksyku i na obszarach stanów Tennessee i Washington. 300.000 ludzi pracowało w zakładach „Manhattan Engineering Co” — jak brzmiała oficjalna nazwa tajnych laboratoriów atomowych. Roboty były tak dalece zaawansowane, że ukończenie konstrukcji pierwszej bomby atomowej planowano na lato 1945 roku. Tymczasem klęska Niemiec zbliżała się nieuchronnie.

Po załamaniu się ofensywy w Ardenach — oświadczył odznaczony Nagrodą Nobla — Compton, — kapitulacja Niemiec nastąpi bardzo szybko. Dla pracowników „Manhattan Project” stało się jasne, że jeśli bomba atomowa będzie w ogóle zrzucona, to nie na Niemcy, lecz na Japonię. Bomba, która była budowana dla obrony wolnego świata, będzie więc użyta do zdziśiatkowania pobitego już narodu. Rozpoczęła się dramatyczna walka przeciw użyciu tej straszliwej broni.

GENERAL LESLIE GROVES NA WIDOWNI

Wśród zwolenników zrzucenia bomby atomowej największą aktywnością odznaczał się generał-major Leslie Groves, który osiągnął stanowisko szefa całego przedsięwzięcia atomowego — z czasem najbardziej ważnego i tajnego programu wojennego Ameryki. Dynamiczny i bez skrupułów Groves w pewnym sensie imponował uczonym. Myśl, że tyle włożonej pracy i osiągnięć miałoby pozostać bez skutku spędzała mu sen z powiek. Z wielkim niepokojem, podobnie jak ludzie w piwnicach Reichskanzlei, obserwował generał upadek Rzeszy. Jego bomba — wiedział to: — będzie gotowa dopiero w lecie 1945. A tymczasem z Niemiec nie pozostanie nic, co byłoby godne prawdziwej bomby atomowej. Ostatnia szansa: Japonia. Już na parę miesięcy przed zrzuceniem bomby Groves w asyście Oppenheimera i innych ekspertów atomowych wyszukiwał miasta japońskie, na które miała spaść owa bom-

ba, której siłę wybuchową obliczano na 10.000 ton TNT (trinitrotomol). Generał Groves przekazał swe atomowo-strategiczne plany ministrowi wojny Stimsonowi. Na liście znajdowały się już Hiroszima i Kyoto, japońskie miasta świątyn. Kiedy jeden z waszyngtońskich ekspertów wielki miłośnik sztuki japońskiej dowiedział się o tym, począł błagać swego szefa o łaskę dla japońskich skarbów, znajdujących się w Kyoto. Prośba doszła do samego Stimsiona, który ostatecznie kazał skreślić z listy to miasto.

Szefowie trzech największych laboratoriów atomowych, Robert Oppenheimer, Ernest O. Lawrence i Arthur H. Compton zdawali sobie dobrze sprawę z tego, co zamierza ich szef Groves, siedzieli jednak cicho i wykonywali polecenia, zleczone im przez ministerstwo wojny. Niebezpieczeństwo zwierzyli jednak znowu Węgier — Szilard. Wysłał list ostrzegawczy do Roosevelta. Tym razem ostrzegali Amerykę nie przed Hitlerem, ale przed nią samą. Znowu pojechał do Einsteina i „the great Thinker” (wielki uczyony) znowu podpisał list. Adresat go nie otrzymał, ponieważ w międzyczasie zmarł. Jak wynika z oświadczenia Stimsiona, Roosevelt w ostatniej rozmowie, jaka z nim miał, nie wyrażał żadnych zastrzeżeń przeciw zrzuceniu bomby atomowej.

„INTERIM COMMITTEE”

Następca jego Truman niewiele się w tym wszystkim orientował. To też na propozycję Stimsiona utworzono tzw. Tymczasowy Komitet, złożony ze znanych ludzi, którzy mieli pomagać Trumanowi w rozwiązywaniu zawitych problemów wojny. Na czele Komitetu stanął Henry Stimson. Komitetowi dodano „Naukową Radę”, w skład której weszli Oppenheimer, Lawrence, Compton i Fermi. Naukowcy i pracownicy laboratoriów z ulgą przyjęli fakt utworzenia obydwu ciał doradczych.

Kiedy rano dnia 31 maja 1945 roku otworzono posiedzenie Tymczasowego Komitetu, fizycy atomowi w całym kraju wiedzieli już, że zbliża się rozstrzygająca godzina.

POWSTANIE W CHICAGO

Mimo, że Komitet składał się z samych osób cywilnych, na posiedzenie wciśnili się generał George Marshall i generał Leslie Groves. Ich szef Stimson działał bardzo zrecznie. Oświadczył, że „wkrótce będziemy mieć do dyspozycji broń o nieznanym dotychczas sile zniszczenia. Podstawową sprawą w obecnej chwili jest wojna. Naszym największym zadaniem jest doprowadzić do jak najszybszego jej końca”.

Wieczorem następnego dnia Komitet wypełnił swoje „wielkie zadanie”. Jednocześnie doradzono Trumanowi zrzucenie bomby na Japonię w możliwie najkrótszym czasie i to bez ostrzeżenia. Oznaczało to bezwarunkową kapitulację uczonych przed generałem atomowym i ministrem wojny. Nad sumieniami uczonych zwyciężyła polityka siły.

(C. d. n.).

OKIENKO PROBLEMÓW AKTUALNYCH

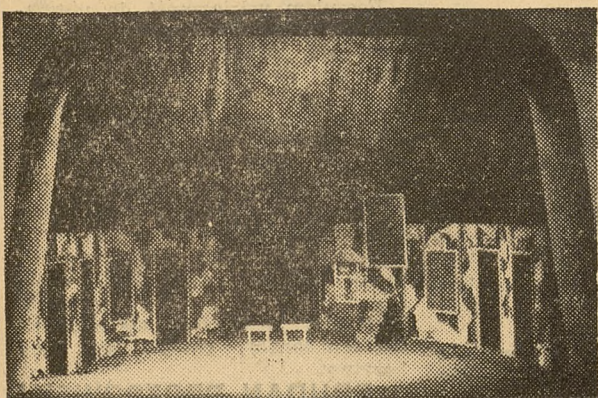
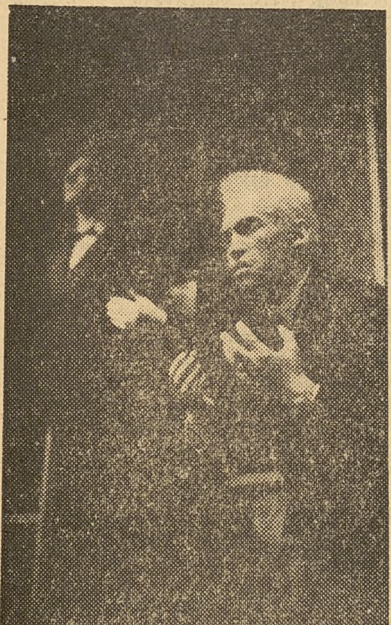
Precz z samochodami osobowymi

Ostatnio w całej prasie bębni się o możliwościach i perspektywach sprowadzenia do kraju pewnej ilości samochodów małodrożnych przeznaczonych dla prywatnych odbiorców, względnie rozpoczęcia ich produkcji na podstawie zagranicznej licencji. Niezależnie od tego mamy w przyszłości produkować własne tego typu maszyny, a wyrabiamy już (choć na razie niewiele), motocykle, a nawet skutery. Czy te wszystkie poczynania zaspokoją nasze „potrzeby motoryzacyjne”?

Nikt się nawet nie sili na potakującą odpowiedź, choć nikt nie starał się chyba przeanalizować naszych potrzeb. Otóż prócz wąskiego grona sportowców, dla których posiadanie samochodu i motocykla jest tego typu rozrywką co jazda na nartach itd. itd., większość szarych obywateli chciałaby dysponować mechanicznym środkiem lokomocji przede wszystkim z dwóch powodów: po to by szybciej dostawać się do pracy, i po to aby szybko wydostawać się z wielkiej miasto w okresie weekendów. Choćbyśmy uruchomili wreszcie masową produkcję „Syren” i rzucili na rynek większe ilości motocykli oraz importowanych małodrożówek nie zaspokojymy w najbliższych latach zapotrzebowania na środki lokomocji. Odlóżmy więc marzenia o własnym motorze i samochodzie na trochę dalszą przyszłość, gdy rzeczywistość każdego stać będzie na własną maszynę (jak to ma miejsce w USA czy w Niemczech), na razie zaś, zamiast walić pieniądze w importy małodrożówek i w mało na razie opłacalną produkcję własnych samochodów, zabezpieczmy wygodne masowe środki lokomocji. Nie rozdrabniajmy naszych wysiłków, nie rozpraszajmy się. Skoncentrujmy nasze zamierzenia motoryzacyjne na zaopatrzeniu rynku w odpowiednią ilość autobusów, które pozwoliłyby ludziom na stosunkowo wygodne dostawianie się do pracy i spokojny wyjazd na weekend do podmiejskich uzdrowisk. Najpierw motoryzacja dla wszystkich, potem motoryzacja dla każdego.

TEATR

PO PREMIEROWYM PRZEDSTAWIENIU „KRZESEL” IONESCO BRAW PRAWIE NIE BYŁO. ZDANIA CO DO SAMEJ SZTUKI I JEJ WYSTAWY SĄ BARDZO PODZIELONE. SZTUKĘ REŻYSEROWALI: A. MIANOWSKA I A. GROTOWSKI. OPRAWA PLASTYCZNA W. KRAKOWSKI. REPRODUKUJEMY SERIE ZDJĘĆ Z TEJ SZTUKI.



FILM



„WIERNY MĄŻ”

kolorowa komedia produkcji angielskiej w reżyserii Sidney Gillata z rewią gwiazd znanych z wielu filmów angielskich, francuskich i amerykańskich. Jest to historia fantastycznego wypadku całkowitej utraty pamięci, jakimś uległ przystojny Anglik (Rex Harrison) budząc się w niewielkim hoteliku w Walii i konstatając, że nie wie kim jest i gdzie się znajduje. Diagnosta lekarska stwierdza pełne jego zdrowie z wyjątkiem kompletnej utraty pamięci, której powodem musiał być silny wstrząs psychiczny.

Od tego momentu zaczyna on poszukiwać „samego siebie” i po nitce do kłębka trafia do swej żony uroczej fotografki (Kay Kendall), która przyjmuje go z lekkim zdziwieniem, jako że miał wrócić parę dni później. Nasz bohater dowiadyuje się przy okazji, że jest pracownikiem pewnego ministerstwa i że zapewne na zlecenie tego ministerstwa wyjechał z miasta. Jednakże w ministerstwie każą mu się wynosić za drzwi wyrażając niedowzuszczające zdziwienie, że jest tak bezczelny aby się pokazywać. Czyżby używał tylko nazwy ministerstwa dla pokrycia jakiś innych, ciemnych sprawek? Następnie udaje się do „swego” klubu, gdzie ludzie traktują go jeszcze gorzej niż w ministerstwie, co skłania go do przypuszczenia, że popełnił jakąś zbrodnię, o której lepiej nie wspominać w eleganckim świecie.

W drzwiach klubu czeka go nowa niespodzianka. Zaledwie zdążył wyjść został porwany przez energiczną rodzinę włoskiego pochodzenia, siłą zawieziony do ich domu... gdzie okazuje się, że jest TAKŻE mężem córki pana Luigi, pięknej Loli (Nicole Maurey). Sytuacja staje się z dnia na dzień bardziej alarmująca, gdy zaczynają zgłaszać się dalsze „żony” przystojnego bohatera... w sumie jeszcze cztery.

Aby uniknąć komplikacji nasz bohater udaje się pod opiekę psychiatrów, a z kolei prawo bierze go w swe obroty. Oskarżony o „six gamie” przeżywa niezwykle emocje gdyż wszystkie sześć żon chcą koniecznie aby pozostał ich mężem. Z największym trudem kobiecie — adwokatowi pannie Chesterman (Margot Keighton) udaje się wybiłagać na sądach unieważnienie małżeństw i uwolnienie od winy i kary.

Na tym koniec. Czekają nas bowiem w tym filmie jeszcze jedna niespodzianka, w postaci... siódmej żony.

CO CZYTAĆ

„Maszkary” Andrzeja Piwowarczyka to sensacyjna powieść, reportaż, opowiadanie, czy jak kto woli. O wszystkich sprawach dzisiejszych się w tej książce opowiada kapitan Gleb. Wielka afera kryminalna Wrocławia i okolic w wydaniu Andrzeja Piwowarczyka jest interesująca ze względu na samą fotografię kryminalną — wolelibyśmy jednak, ażeby autor bardziej przejmował się zasadami stylistyki. Poza tym: zimną krew trzeba mieć przy czytaniu tej książki kryminalnej (Wydawnictwo MON).

Tuwim, Messalka, Świętokrzyska, Biblioteka Uniwersytecka, Włoch, Powąski. Innymi słowy „Notatki z obu brzożych Wisły” Pawła Hertza w wydaniu Czytelnika.

Na marginesie wspomnień H. t. z. o Warszawie należy zauważyć że wzmaga się u nas wydawanie literatury wspomnieniowej, pamiętnikarskiej. Wśród książek tego typu notatki na pewno należą do przedniej lektury: główną jej zaletą jest sentymentalność w dobrym tego słowa znaczeniu. Trzeba umieć kochać tak Warszawę, jak Paweł Hertz, by móc zatrzymać w biegu pędzący czas i pozwolić obcować z takimi ludźmi Warszawy jak Tuwim.

Aniela Jasińska napisała książkę pt. „Wacusi albo kupujcie fiołki”. „Czytelnik” wydał to tylko dlatego chyba, ażeby rzeczywiście podrzeć sobie można było z takich genitalii pisarzy umieszczonych przez autorkę w najmniej odpowiednim momencie opowieści. Więcej złośliwości nie trzeba...

„Słupy ogniste” Poli Gojawiczyńskiej ukazały się nakładem PAX-u.

Kupujcie „Armancję” Stendhala w przekładzie R. Kolonickiego. (PIW)

Wydawnictwo Literackie wytrwale zajmujące się pamiętnikarstwem i wspomnieniami. Oto słynne już przed wojną „Spojrzenie wstecz” Jana Lorentowicza. Lorentowicz pisze tam m. in. o Reymondzie, Prusie, Zapolskiej i Paryżu. Już tylko dla tych zalet należy zapoznać się z tą książką.

Czytelnik wznowił „Pchłę szachrajkę” Jana Brzechwy. Jeśli wam się wydaje, że wychowacie swoje dzieci na porządnym ludzi bez kupienia, przeczytania im „Pchły szachrajki” i „Lokomotywy” Juliana Tuwima — to się grubo mylicie.

cie. A w ogóle dorośli powinni również zapoznać się z takimi wierszami jak „Pchła szachrajka”, aby zrozumieć jak ładny, pięknie brzmiący jest wiersz Brzechwy, który jest również bardzo łowczym pisarzem.

„Porwanie w Tiuturlistanie” Wojciecha Zukrowskiego stanowiło w minionych latach „administrację sztuką, pisanie powieści pro-ukcyjnych etc. etc.” — lekturę wychnienową tzn. lekturę dobrej literatury. Ale i ostatnie sensacje w rodzaju Leblanca i innych tym podobnych bzdur na pewno nie odbiorą czytelnika Zukrowskiemu, który z takim wdziękiem zapoznaje czytelnika z perypetiami kota, koguta i lisiczki. Główną zaletą książki Zukrowskiego jest bezinteresowność autora, który nie poucza a bawi, nie pokazuje, ale proponuje spojrzeć na kraj, który nazywa się Fantazją („Nasza Księgarnia”).

Ludwik Jerzy Kern napisał „Menażerie kapitana Ali”, którą ilustrował Kazimierz Mikulski. Zaletą tej wierszowanej opowieści dla dzieci jest doskonale zrobiona groteska, która dostrzegana jest dla czytelnika dorosłego — dla dzieci stanowi coś zupełnie naturalnego, przyjmowanego bez „korekty” doświadczenia życiowego. Treść tej uroczej książeczki dotyczy burzliwych przygód kapitana Ali, który wędruje wspój z wesołą załogą i transportem zwierząt dla ZOO na statku „Syrena”. (Książkę wydała „Nasza Księgarnia”).

„Słoneczko, śliczne oko, dnia oko piękne...”

„Żenicy” Szymonowica, to nie tylko lektura szkolna, ale przepiękna sielanka. Wybór tych sielankę wydało Ossolineum w „Naszej bibliotece” (opracowanie Stefana Reczka).

W wyborze znaleźliśmy Kosiarzy, Słub, Kołaczę. Dobrze jest sięgnąć czasem do literatury staropolskiej i odświeżyć w pamięci piękną strofę Szymonowica. Są to rzeczywiście szczyty poezji opiewanej, nie rezygnującej również ze wzniosłych, retorycznych akcentów.

„Lamus zdarzeń i opowieści — historie pouczające, ucieszne, a prawdziwe, z lat dawnych przez Jana Bendę i Gabriela Zycha spisane”. Ten archaizowany tytuł nosi książka wydana przez wydawnictwo MON, opisująca dawne obyczaje, komendę, uzbrojenie i przygody wojskowe. Możemy się dowiedzieć z tej interesującej książki „Jak Fredro udawał Napoleona”, jak wyglądał „Staro-polskie oznaki godności wojskowej”, kiedy padła po raz pierwszy w polskim wojsku komenda „Padnij!” Autorzy mówią też o Radetzkim — austriackim wodzu, nie brak cytatów z „Wojny chomiczkiej” — Potockiego. Książka interesująca, przyciągająca uwagę czytelnika mnóstwem anegdot.

(Rafał)

Fakty ★ Plotki ★ Fakty ★ Plotki

CESARZ I SPÓŁKA

Cesarz Etiopii Haile Selassie (lat 64) zamówił w USA samolot — salonkę. Zaznaczył jednak że musi to być maszyna, którą łatwo dałoby się przekształcić w normalny samolot, mieszczący 44 pasażerów. Gdy cesarz nie będzie potrzebował maszyny dla siebie — Abisyński Towarzystwo Lotnicze będzie jej używać na szlakach komunikacyjnych państwa.

POLSKIE PIĘKNOŚCI

Podobno Polska wysłała swą reprezentację na najbliższy konkurs o tytuł „miss świata” na Long Beach w USA.

ZŁE MIEJSCE

Prezydent Eisenhower sprzeciwił się projektowi spędzenia wakacji w Colorado. Powód? Tam po raz pierwszy dostał ataku serca.

DOBRE RADY

Wyszło ostatnio na jaw, że prezydent Eisenhower podczas spotkania na Bermudach radził brytyjskiemu premierowi Macmillanowi aby zahamował nieco likwidację Imperium Brytyjskiego. Jak pisze amerykańskie czasopismo „US News and World Report” — „ta rada udzielona przez Amerykanina raczej zdziwiła angielskiego przywódcę politycznego”.

PO INDIANSKU

W jednej z kawiarń wiedeńskich wraz z zamówionymi napojami kelner przynosi na stół i umieszcza dyskretnie przed oczami gościa mapkę, na której oznaczono drogę do najbliższej toalety.

OPTYMISCI

Pod tytułem „Młodzież jest optymistyczna” opublikowała gazeta francuska „Le progrès” następujący wynik ankiety przeprowadzonej w Paryżu: „32 spośród 2000 zakochanych liczy na wierność swojej przyszłej małżonki”.

REKLAMA JEST DŹWIGNIĄ HANDLU

Oto fragment menu jednej z hamburskich restauracji: „Szansonetki z salata marek 1,50, gruszek z calusami 1,20, filiżanka kawy nieocłonej, ukradzonej — 0,70. Ahoi!”

NAWRÓTY

Rekord ilości zawieranych małżeństw należy chyba do 73-letniego restauratora z Chicago, niejakiego Jamesa Tuckera, który zawarł obecnie związek małżeński po raz siedemnasty. Na uwagę zasługuje fakt, że pan Tucker żenił się ze swą poprzednią żoną pięciokrotnie i pięciokrotnie się rozwodził. A było to mianowicie w latach 1919, 1926, 1937, 1949, 1957. W tak zwanym (że po polsku) międzyczasie kochołliwy restaurator zawierał śluby i przeprowadzał rozwody z szeregiem różnych innych pań.

TALENT

Jeden z zapowiadających się doskonale od szeregu lat pisarzy krakowskich, mimo poważnego stanowiska nie rezygnujący z literatury i z życiowej roli Romea, zapowiada wydanie powieści o na pół szekspirowskim tytule. Czyżby kraj nasz miał uzyskać jeszcze jednego żywego klasyka?

IŁOŚĆ WYBUCHÓW

Czasopismo amerykańskie „US News and World Report” podaje: „Stany Zjednoczone w ciągu 12 lat przeprowadziły 67 prób atomowych, włączając je to pierwszą serię wybuchów w Nowadzie. Przeciwnie: 6 eksplozji atomowych rocznie. „Ta sama gazeta wyraża przypuszczenie, że ZSRR dokonał w ciągu ostatnich 8 lat 40 prób atomowych, dokonując przeciętnie 5 prób rocznie. Wielka Brytania zaś w ciągu 5 lat tj. od roku 1952 dokonała 10-ciu prób. Przeciwnie 2 eksplozje rocznie. W sumie na całym świecie odbyło się 117 eksplozji atomowych od 16 lipca 1945 roku.

EDUKACJA

W ostatnich dniach czerwca odbyły się egzaminy wstępne na Studium Zaoczne Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Oto niektóre autentyczne odpowiedzi niektórych kandydatów na wyższe studia. Podażemy kilka odpowiedzi bez komentarza.

Pytanie: Znaczenie gospodarcze i polityczne Dunaju.

Odpowiedź: Dunaj wypływa z Karpat i wpada do Morza Kaspijskiego.

Pytanie: Charakterystyka okresu Oświecenia w Polsce.

Odpowiedź: Oświecenie to kierunek dążący do zerwania ze szlacheckim trybem życia. W czasie Oświecenia brał sprawę chłopów jeden z królów, który był krótko królem. Tym królem był Kochanowski.

Pytanie: Charakterystyka gospodarczo-polityczna półwyspu Pirenejskiego.

Odpowiedź: Półwysep Pirenejski słynie z uprawy bawełny.

Pytanie: Znaczenie gospodarczo-polityczne Kanału Sueskiego.

Odpowiedź: Kanał Sueski położony jest w jednym z krajów angielskich. Nie przypominam sobie w jakim państwie leży. Zbudował go inżynier francuski w połowie XVIII wieku.

Pytanie: Najważniejsze kanały świata.

Odpowiedź: Kanał Kiloński położony w Azji, Kanał Sueski i Kanał La Manche.

Pytanie: Położenie geograficzne Belgii, stolica, charakterystyka gospodarcza.

Odpowiedź: Belgia nie ma dostępu do morza. Stolicą jest Amsterdam.

Pytanie: Posiadłości zamorskie Wielkiej Brytanii.

Odpowiedź: Wietnam, położony w Afryce.

Pytanie: Kraje Ameryki Łacińskiej.

Odpowiedź: Nie potrafię wymienić żadnego kraju Ameryki Łacińskiej poza Pampą.

Pytanie: Znaczenie Konstytucji 3 maja.

Odpowiedź: Konstytucja 3 maja była w 1873 r. Konstytucja 3 maja zgodziła się z rozbiorem Polski.

Pytanie: Charakterystyka I wojny światowej.

Odpowiedź: I wojnę światową prowadzili Niemcy (Bismarck) z Francją przeciw Anglii.

Pytanie: Charakterystyka Odrodzenia w Polsce.

Odpowiedź: Z Odrodzeniem w Polsce mamy do czynienia w XIX w. Przedstawiciele Odrodzenia — Stanisław Staszic i Kollataj.

Pytanie: Wojna trzydziestoletnia.

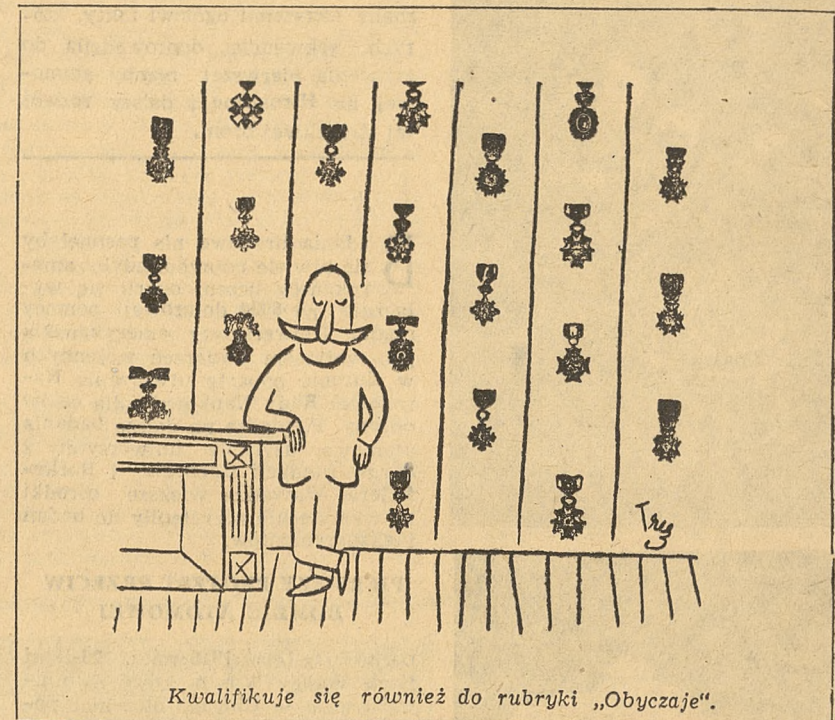
Odpowiedź: Był to najazd Niemców na terytorium Polski.

OBYCZAJE

OKRUCH NADZIEI

Bywają w życiu takie chwile, kiedy przestaję wierzyć w cokolwiek, w przyszłość, w socjalizm, w naród polski. Posunąłem się raz do tego, żem publicznie oświadczył: wstydę się, że jestem Polakiem. Dlaczego? Dlatego, że naród mój jest bałaganiarski, że nie znosi dyscypliny społecznej, że się sam okrada, że zapala się jak słoma i gąsnie, że myśli iż wszystko przyjdzie z nieba, że jest tak strasznie zaściankowy, iż byle zachodni ciuch rozdziawia mu gębę. I powiedziałem, że rządzić takim narodem to największy dopust boży i że trzeba nie lada hartu ducha, by odważać się obiecywać sobie i jemu — lepszą przyszłość. Ba, bo gdybyż ta przyszłość zależała od manny kapłanej z nieba — wtedy oczywiście wszyscy zaczęli się wydzyrać Hosanna, albo sto lat. Ale gdy zaczyna się mówić o własnych siłach — wtedy — cierpliwości nie ma i każdy chwytą co ma pod ręką.

Te ponure nastroje rozbił u mnie pewien młody człowiek, znany działacz ZMS-u, któremu zagrożono odebraniem legitymacji partyjnej za coś tam, wiem ale nie powiem, bo mi wstyd za tych co mu ją chcieli odebrać. Młody ów człowiek powiedział tak: to wszystko bzdura co mówisz, nie rozumiesz narodu, oderwałeś się od niego, nie wiesz jak żyje, i z czego żyje. Kradnie? No dobrze, ale z czego ma żyć? Pije? No dobrze, ale jakież ma perspektywy poprawienia swego losu? Opuścił się w pracy? No dobrze, ale przecież... Nie pamiętam już jaki to był argument w obronę mego narodu. I w tej chwili wcale mnie nie interesuje co mówił kolega z ZMS-u. Jego słowa posłużyły tylko za kotwicę na której stanął mój uciekinier przed rzeczywistością statek. Gdybym dziś zaczął być zawodowym politykiem — przestałbym rwać włosy z głowy, natomiast wprowadziłbym kilka zasadniczych innowacji w życiu społeczeństwa: przede wszystkim sady publiczne nad paserami, kombinatorami, defraudantami i wszelkiej maści złodziejami mienia publicznego. Karałbym bezwzględnie wszystkich — kimkolwiek będą i w jakichkolwiek warunkach. Ich złodziejstwo bowiem ma ten społeczny wynik, że na jeden dzień poprawia ich własny byt, a w skali kraju obniża lub hamuje postęp dobrobytu całego narodu. Mówiąc: sady publiczne mam na myśli takie sady, które by się odbywały doraźnie, przy obecności wielkiej ilości obywateli. Kara mogłaby być zarówno ciężkie więzienie, jak i np. banicja z miasta na kilka lat lub na zawsze z książką lub adnotacją w dowodzie osobistym następującej treści:



Kwalifikuje się również do rubryki „Obyczaje”.

WRÓG LUDU

nie znam bowiem w tej chwili większych wrogów ludu nad złodziei zerujących na jego niedostatku. Złodziei taki byłby pod nieustanną obserwacją MO i społeczeństwa, i życie w nieufności i potępieniu tak by mu obryzło, że już nigdy nie podniósłby ręki na to co należy do innych lub wszystkich. Nie wierzę, by były inne środki zaradcze przeciw potęgającej się pladze złodziejstwa, łapownictwa i korupcji. Bezkarność jest przerażająca. Władze, z przechyli ręki na to co należy do innych lub wszystkich. Nie wierzę, by były inne środki zaradcze przeciw potęgającej się pladze złodziejstwa, łapownictwa i korupcji. Bezkarność jest przerażająca. Władze, z przechyli ręki na to co należy do innych lub wszystkich. Nie wierzę, by były inne środki zaradcze przeciw potęgającej się pladze złodziejstwa, łapownictwa i korupcji. Bezkarność jest przerażająca. Władze, z przechyli ręki na to co należy do innych lub wszystkich.

Złodziejstwo w tym kraju jest tak powszechne, że już nikt na nie — nie zwraca uwagi. Konduktor w tramwaju bierze pieniądze i nie daje biletu, pasażer wysiada nie mówiąc. Widziałem też inne fakty: konduktor daje bilet, pasażer nie bierze, machając ręką. Konduktor chowa 50 groszy do swojej prywatnej kieszeni. I to na oczach dziesiątków pasażerów. Wszyscy są zgodni w myśli: co on tam zarobił! Niech sobie dołoży te parę złotych. MPK nie zbiednieje.

Od przeszło tygodnia obserwuję robotników poprawiających trawniki przed moimi oknami. Rok temu zasiano piękne trawniki, wyrosła śliczna trawa, potem przyszli, rozkopali je, kłódl bowiem kabel. I zostawili. Zostało rumowisko. Teraz naprawiają. Jest ich kilku. Jak pracują? Ano przyciągają rano, dziesięć kilofem, posiedzą, pogadają, nopolą papierosy — znowu dziesięć kilofem, przerwa. I tak cały dzień. Przez tydzień skopali może 10 metrów kwadratowych ziemi i położyli 15 czy 20 płyt chodnikowych. A całą robotę można było wykonać we czterech w ciągu jednego — półtora dnia.

Myślę, że robotnicy ci świetnie potrafiał wyczuwać, że gdy im się dzieje krzywda — potrafia i zakłać

i powołać się na Gomułkę i socjalizm. Ale kradną także, czy raczej okradają bez osobistych korzyści, także ci, którym nie przyszło do głowy, że najpierw trzeba założyć podziemny kabel a potem robić trawniki. Postawiłem kiedyś w GŁOSIE PRACY wniosek, by przedsiębiorstwa miały PRAWO VETA przy wykonywaniu robót na terenach niezupełnie przygotowanych do wykonywania. Np. przedsiębiorstwo układające chodniki musiały mieć rąko nie tylko swój harmonogram prac i premie wynikające z jego wykonania, lecz interes całości budowy i nie godzić się np. na robienie trawników czy kładzenie płyt chodnikowych, jeżeli przedsiębiorstwa instalacyjne nie założyły jeszcze swoich kabli i rur. Gdyby przedsiębiorstwa te były na własnym rozrachunku — wówczas przedsiębiorstwo robót wykończonych miało by prawo występować o odszkodowanie z tytułu przestojów zawinionych przez instalatorów itp. Ale mój projekt przeszedł bez echa i nadal miliony grzęzną w Polsce w takich różnych trawnikach, rowach, przekopach, wybitkach itd.

Czarno w oczach od tych wstrętnych cech Polaków. Ale bywają takie chwile, kiedy się dostaje do serca jakiś jeden promyk jaśniejszy. Oto w nocy z 30 czerwca na 1 lipca zachorowała mi matka. Zadzwoniłem do Pogotowia w Nowej Hucie. Uprzejmy głos kobiecy przyjął zgłoszenie, po czym zapytał która klatka schodowa. Powiedziałem że nie wiem jak jej wyliczyć. „Licz się od lewej strony — powiedziała. — Ale jest zamknięta, będzie więc musiał otworzyć, gdy przyjadą. Wtedy kobieta powiedziała: niech się pan położy, jak będą jechać — na razie są w Pleszewie — to ja do pana zadzwonię...”

Poczułem wdzięczność do nieznanej mi dyżurnej z Pogotowia. Przecież była późna noc, przecież musiało być senna, przecież nikt jej za to nie płaci, żeby była unieruchomiona... tak się przynajmniej uważa. Tyle razy dzwoniłem w życiu do Pogotowia w różnych miastach, ale tu po raz pierwszy przyszło komuś dogłówny by nie trzymać mnie niepotrzebnie kwadrans przed domem...

A więc jest jakiś okruh nadziei, że nie wszyscyśmy przegnili i egoiści.

Mizerny, bo mizerny, ale człowiek jak ten tonący, chwytą się byle brzytwy.

BOHDAN DROZDOWSKI

NIEZWYKŁE PRZYGODY KANCELISTY

MARCEL Ayme

Na Montmartre przy ul. Orchamp 75 a na III p. żył sobie pan Dutilleul. Nosił binokle, małą, czarną bródkę i pracował jako urzędnik trzeciej kategorii w ministerstwie rejestracji.

Rozpoczął właśnie 43-ci rok życia.

Pewnego wieczora, gdy wychodził ze swej małej garsoniery, zgasio światło. Szukając w przedpokoju stopek, Dutilleul szedł przez chwilę po ciemku, a gdy światło znów zgasło, znalazł się ku swemu ogromnemu zdziwieniu w klatce schodowej, mimo że drzwi wejściowe były zamknięte na klucz od wewnątrz. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi spróbował dostać się z powrotem do mieszkania tak, jak z niego wyszedł, t. j. przez ścianę. Udało się! Ten dziwny talent spęszył go do tego stopnia, że skierował się zaraz do lekarza. Po przekonaniu się o prawdziwości słów pacjenta i zbadaniu go, lekarz stwierdził przyczynę choroby w śrubowatym stwardnieniu strąglarnej przegrody gruczoła tarczycowego.

Przepisał mu dużo wysiłków i dwa razy w roku proszek czterosiłnego pifetu, t. j. mieszaninę mączki ryżowej i hormonu centaury.

Po powrocie do domu Dutilleul włożył lekarstwo do szuflady, a będąc mało ciekawym i nie posiadając wyobraźni, zapomniał o całej historii. Nigdy mu nawet na myśl nie przyszło wejść do mieszkania inaczej jak przez drzwi. I zeszarzały się pewnie w spokoju, gdyby nadzwyczajne zdarzenie nie wstrząsnęło jego egzystencją. Oto w czasie jakiejś reorganizacji w ministerstwie, szef jego, przeniesiony na inne stanowisko, zastąpiony został przez niejakiego Lecuyera. Dutilleul od pierwszego dnia nie spodobał się nowemu kierownikowi. Nie mówiąc już o cwikierze i czarnej bródce, szefa niepomiernie irytowała formułka, jaką Dutilleul zaczynał listy: „W uprzejmym załatwieniu Pańskiego cennego listu z dn... i powołując się na uprzednio wymienioną korespondencję, mam zaszczyt zawiadomić, że...“ Zwrót ten Lecuyer chciał zastąpić bardziej amerykańskim: „Odpowiadając na Pański list z dn... zawiadamiam, że...“ Dutilleul nie mógł się przyzwyczaić do tych wymagań. Mimo woli powracał do używanej od 20 lat formułki z machinalnym uporem, który potęgował tylko nienawiść szefa. Sytuacja w ministerstwie rejestracji stawała się ciężka. Dutilleul rano udawał się do pracy niechętnie, a wieczorem przed zaśnięciem zdarzało mu się nieraz cały kwadrans rozmyślać nad nowymi warunkami w biurze.

Kiedys, rozszłoszczony biernym oporem urzędnicyzny, Lecuyer przeniósł go do półciennego zakątka, przytykającego do jego biura, gdzie się wchodziło przez niskie i wąskie drzwi, noszące jeszcze resztki napisu „Komórka“. Dutilleul przyjął z rezygnacją to upokorzenie bez precedensu, ale doszedł do tego, że gdy czytał w gazecie opis jakiejś krwawej zbrodni, marzył, aby to Lecuyer był jej ofiarą.

Pewnego dnia kierownik wpadł do jego zakamarka i wymachując listem, zaczął bełkotać w pasji:

— Proszę mi jeszcze raz przepisać ten świadek! Proszę mi zaraz przepisać tę szmatę, która kompromituje moje biuro!

Dutilleul chciał protestować, ale Lecuyer grzmiącym głosem nazwał go jeszcze szczerem biurowym i wychodząc, zmietym w kulę listem uderzył go w twarz.

Dutilleul był skromny, lecz dumny. Pozostawiony sam, poczuł nagle natchnienie: wstał i wszedł w ścianę, dzielącą go od pokoju szefa, ale tak, że tylko głowa ukazała się po drugiej stronie. Lecuyer siedząc przy biurku, drząc jeszcze z gniewu ręką skreślał przecinek w piśmie jednego z urzędników, przedłożonym mu do podpisu, gdy usłyszał kaszlnięcie tuż obok siebie. Podniósł oczy i odkrył z niesłychanym przerażeniem głowę Dutilleula, wystającą ze ściany jak jakieś trofeum myśliwskie. Tylko, że głowa ta żyła.

Przez cwikier na łańcuszku wbijało się w niego pełne nienawiści spojrzenie. Gorzej, głowa zaczęła mówić:

— Pan jest łobuz, bałwan i łajdak.

Z ustami otwartymi ze zgrozy, Lecuyer nie mógł oderwać oczu od zjawiska. Wreszcie porwał się fotela, wyskoczył na korytarz, a ochłonawszy wpadł do pokoju Dutilleula. Ten z piórem w ręce siedział już na swym miejscu w spokojnej, zapracowanej pozie. Kierownik długo na niego patrzył, wyjąkał kilka słów i wrócił do swego pokoju. Ledwie uśiadł, głowa pojawiła się znów w ścianie:

— Pan jest łobuz, bałwan i łajdak.

W ciągu tego dnia i kilku następnych Dutilleul pokazywał się w ścianie regularnie po kilkanaście razy, rzucając obelgi i wygłaszając niejasne groźby. Biedny kierownik błąd z każdym dniem coraz bardziej, dusił się, włosy stawały mu na głowie, a po plecach spływał śmiertelny pot. Z początkiem drugiego tygodnia karetka sanitarna zabrała go do kliniki.

Uwolniony się od tyranii Lecuyera, Dutilleul powrócił spokojnie do swych tradycyjnych zwrotów w korespondencji. Ale nie miał pełnego zadowolenia. Był to dla niego początek przygody. Czuł w sobie potrzebę ekspansji, wzrastające pragnienie przewyższenia samego siebie i jakąś tęsknotę, która była jakby wołaniem zza ściany. Niestety, brak mu było pomysłów. Szukał natchnienia w gazetach, w rubrykach poświęconych polityce i sportowi, ale dopiero lektura kroniki wypadków okazała się bardziej sugestywna.

Pierwsze włamanie, jakiego dokonał Dutilleul, miało miejsce w banku. Przeszedłszy kilka ścian i murów, dostał się do oddziału safesów, napelniał kieszenie pieniędzmi i wyszedł, podpisując się czerwoną kredą na ścianie pseudonimem „Garou-Garou“, który na już jutro reprodukowali wszystkie poranne dzienniki. Po tygodniu imię to stało się sławne. Sympatia publiczności była całkowicie po stronie tego zrzeczonego włamywacza, który drwił tak wspaniale z policji. Co nocy Dutilleul podpisywał się jakimś nowym czynnem. W Paryżu czy na prowincji nie było ani jednej marzycielki, która nie pragnęła być ciałem i duszą należącą do tego strasznego Garou-Garou.

Tymczasem Dutilleul, obecnie jeden z najbogatszych ludzi w Paryżu, chodził dalej punktualnie do biura. Co rano z całą przyjemnością wysłuchiwał w biurze komentarzy kolegów do swych nocnych wyczynów. „Ten Garou-Garou — mówili — to wspaniały człowiek, nadezwłowiek, geniusz!“ Słyszac te pochwały Dutilleul czerwieniał z zadowolenia, a oczy błyszczały mu zaa cwikieru przyjaźni i wdzięczności. Pewnego dnia ta atmosfera sympatii natchnęła go taką ufnością, że nie potrafił dłużej utrzymać tajemnicy i oświadczył kolegom, że Garou-Garou — to on właśnie. Ogromny wybuch śmiechu powitał to zwierzenie Dutilleula, który dla żartu otrzymał teraz to przezwisko. Gdy opuszczał biuro, życie wydawało mu się już mniej piękne.

W parę dni później Garou-Garou dał się złapać nocnemu patrolowi i to prawdopodobnie w celu przekonania kolegów biurowych o prawdziwości swych słów. Rzeczywiście byli zdumieni, gdy gazety następnego dnia opublikowały na pierwszej stronie fotografię Dutilleula jako osławionego Garou-Garou. Żalowali gorzko, że nie poznali się na swym genialnym koleźce i oddali mu hołd, zapuszczając bródkę. Niektórzy nawet pod wpływem wyrzutów sumienia i podziwu próbowali kraść zegarki i portfele w rodzinie i u przyjaciół.

Wydawałoby się może, że dać się złapać policji, aby zadziwić kolegów, to naiwność niegodna wyjątkowego człowieka. Ale u kogoś przechodzącego przez ściany nie można w ogóle mówić o jakiejś przyzwoitej karierze, jeśli raz przynajmniej nie znalazł się w więzieniu. Gdy Dutilleul tam wszedł, uczuł, że los go po prostu psuje. Grubość murów była dla niego prawdziwą ucztą duchową. Następnego dnia strażnicy odkryli ze zdumieniem, że więzień wbił w ścianę gwóźdź i powiesił na nim złoty zegarek dyrektora więzienia. Nie chciał naturalnie wyznać, jak doszedł do jego posiadania. Zegarek oddano właścicielowi, ale następnego ranka znalazł się on znów na poprzednim miejscu wraz z I tomem

„Trzech muszkieterów“ z biblioteki dyrektora. Strażnicy wyłazili ze skóry. Oprócz tego skarżyli się na niespodziewane ciosy i kopniaki. Wydawało się nagle, że ściany mają nie tylko uszy, ale i nogi. Gdy areszt Garou-Garou trwał już tydzień, dyrektor znalazł na swym biurku taki list:

„Panie Dyrektorze! W ślad za naszą rozmową z 17 bm. i powołując się na przepis z dn. 15 maja ub. r. mam zaszczyt zawiadomić pana, że skończyłem czytać II tom „Trzech muszkieterów“ i że mam zamiar wyjść z więzienia dziś między 11'25 a 11'30. Proszę przyjąć wyrazy głębokiego poważania

Garou-Garou“.

Pomimo, że był tej nocy specjalnie strzeżony, Dutilleul uciekł punktualnie o 11'30. Nożyna ta, podana do wiadomości publicznej, wzniciła wszędzie ogromny entuzjazm. Dutilleul jednak nie dbał widocznie o swą wolność, bo bez żadnych obaw spacerował po Montmartre i w trzy dni po ucieczce został znów zatrzymany.

Odprowadzony do więzienia i zamknięty na potrójne zamki w ciemnej celi, Garou-Garou znów wyszedł z niej wieczorem i poszedł spać do pokoju gościnnego w mieszkaniu dyrektora, gdzie rano zawezwał służącą dzwonkiem i poprosił o śniadanie. Nie stawiał żadnego oporu strażnikom, którzy przyszli go zabrać. Rozwścieczony dyrektor postawił straż u drzwi celi i skazał go na suchy chleb. W południe więzień udał się na obiad do pobliskiej restauracji, a po wypiciu kawy zatelefonował do dyrektora:

— Panie dyrektorze, przykro mi, ale wychodząc zapomniałem wziąć pański portfel i jestem w restauracji bez pieniędzy. Czy może pan być tak uprzejmy i przysłać tu kogoś dla uregulowania rachunku?

Dyrektor przybiegł sam i uniósł się do tego stopnia, że miotał groźby i obelgi. Dotknęty w swej dumie Dutilleul uciekł następnej nocy, aby już więcej nie wrócić. Tym razem zgolił bródkę i zamiast cwikiera włożył okulary w grubej oprawie i sportowe ubranie w kratę. Zamieszkał w małym mieszkanku, gdzie jeszcze poprzednio kazał przenieść część mebli i rzeczy osobistych. Sława zaczynała go męczyć, a przyjemność przechodzenia przez mury trochę zmalała od pobytu w więzieniu. Nawet najgrubsze ściany były dla niego jak kruchy parawan, marzył o wejściu w głąb jakiejś piramidy. Planował więc podróż do Egiptu.

Najlepsi przyjaciele nie poznawali go w nowej postaci. Tylko malarz Gen Paul, którego uwagi nie uszła żadna zmiana u jakiegokolwiek dawnego mieszkańca tej dzielnicy, odkrył jego incognito. Dutilleula zmieszało to i tym bardziej zapragnął przyspieszyć wyjazd do Egiptu. Ale tego samego dnia po południu zakochał się w pięknej blondynce, którą spotkał kilkakrotnie na ulicy. Dla niej zapomniał natychmiast o Egipcie, zwłaszcza że blondynka patrzyła na niego z dużym zainteresowaniem. Niestety, jak go poinformował Gen Paul, była ona żoną brutalną i zadródnika, który wprawdzie pozostawiał żonę samą od 10-tej wieczór do 4-tej nad ranem, ale przedtem zamykał ją na wszystkie spusty i zabezpieczał okiennice.

Ale ostrzeżenie przyjaciela tylko rozpląmieniło miłość Dutilleula. Nazajutrz, spotkawszy ukochaną, ośmielił się wejść za nią do mleczarni i gdy czekała na obsłużenie, wyznał jej swą miłość, zapowiadając, że tego dnia wieczorem zjawi się w jej pokoju.

Tak więc tego promiennego dnia około 10-tej wieczór Dutilleul krążył już pod domem i obserwował okalający go mur. W pewnej chwili furtka w tym murze otworzyła się nagle, jakiś mężczyzna zamknął ją starannie i odszedł. Dutilleul, odczekawszy aż zniknie, wszedł a raczej uczucie wniosło go przez ściany i mur, wprost do pokoju uwiecznionej. Przyjęła go wdzięcznie i kochali się aż do późnej nocy.

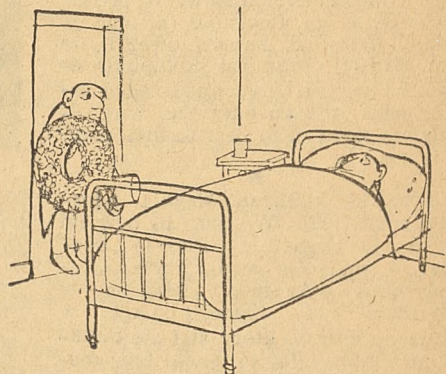
Ranek zastał Dutilleula z silnym bólem głowy. Fakt ten sam w sobie był bez znaczenia i nie mógł mu przeszkodzić w planowanym rendez-vous, a jednak stał się początkiem tragedii. Dutilleul bowiem szukając lekarstwa przeciw bólowi głowy, znalazł w szu-

fladzie rozrzucone proszki i zażył jeden rano, a drugi po południu. Wieczorem niedyspozycja ustąpiła, a radość z ponownego spotkania pozwoliła mu o niej do reszły zapomnieć. Młoda kobieta oczekiwała go z niecierpliwością, usprawiedliwioną wspomnieniami poprzedniej nocy i tym razem kochali się do trzeciej rano. Gdy Dutilleul wychodził przez ściany odczuł jakieś niezwykle ocieranie o biodra i ramiona, na które nie zwrócił jednak uwagi. Dopiero przechodząc przez mur ogrodu, poczuł wyraźny opór. Wydawało mu się, że przeciska się przez jakąś substancję jeszcze płynną, ale która już tężeje i przybiera konsystencję ciastowatą, która za każdym ruchem zagęszcza się. Gdy już cały był w murze, zorientował się, że już się nie posuwa i przypomniał sobie z przerażeniem owe dwa proszki zażyte w ciągu dnia. Nie była to aspiryna, lecz ów czterosiłny proszek, dany mu w ubiegłym roku przez lekarza. Skutek lekarstwa, połączonego z dużą ekspansją sił, objawił się zupełnie niespodziewanie.

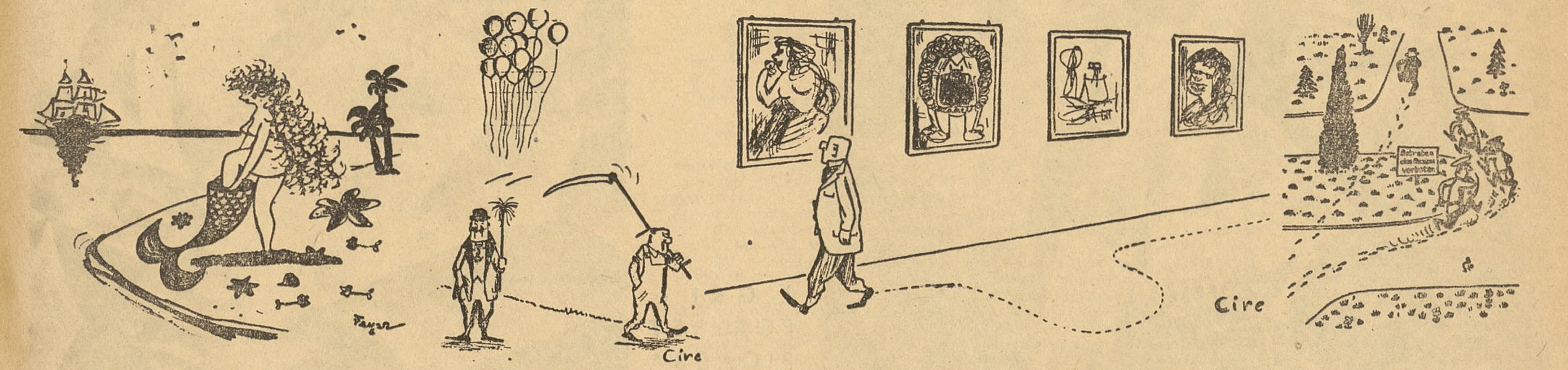
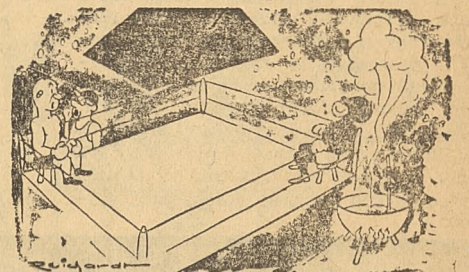
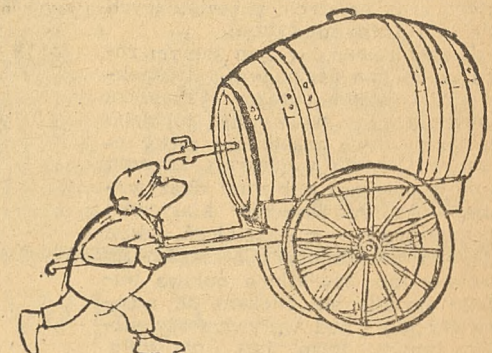
Tak Dutilleul pozostał w murze na zawsze. Nocni przechodnie, idący ulicą Norvins, gdy ruch uliczny w Paryżu zamiera, słyszą jakieś głosy, które przypisują wiatrowi. Tymczasem to Garou-Garou — Dutilleul opłakuje koniec swej wspaniałej kariery i przedwczesny kres swej miłości.

W niektóre zimowe noce malarz Gen Paul zachodzi z gitarą pod mur willi, aby piosenką pocieszyć biednego przyjaciela.

Tłum i oprac. J. PIĄTKOWSKI



HUMOR



ABC SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

9)

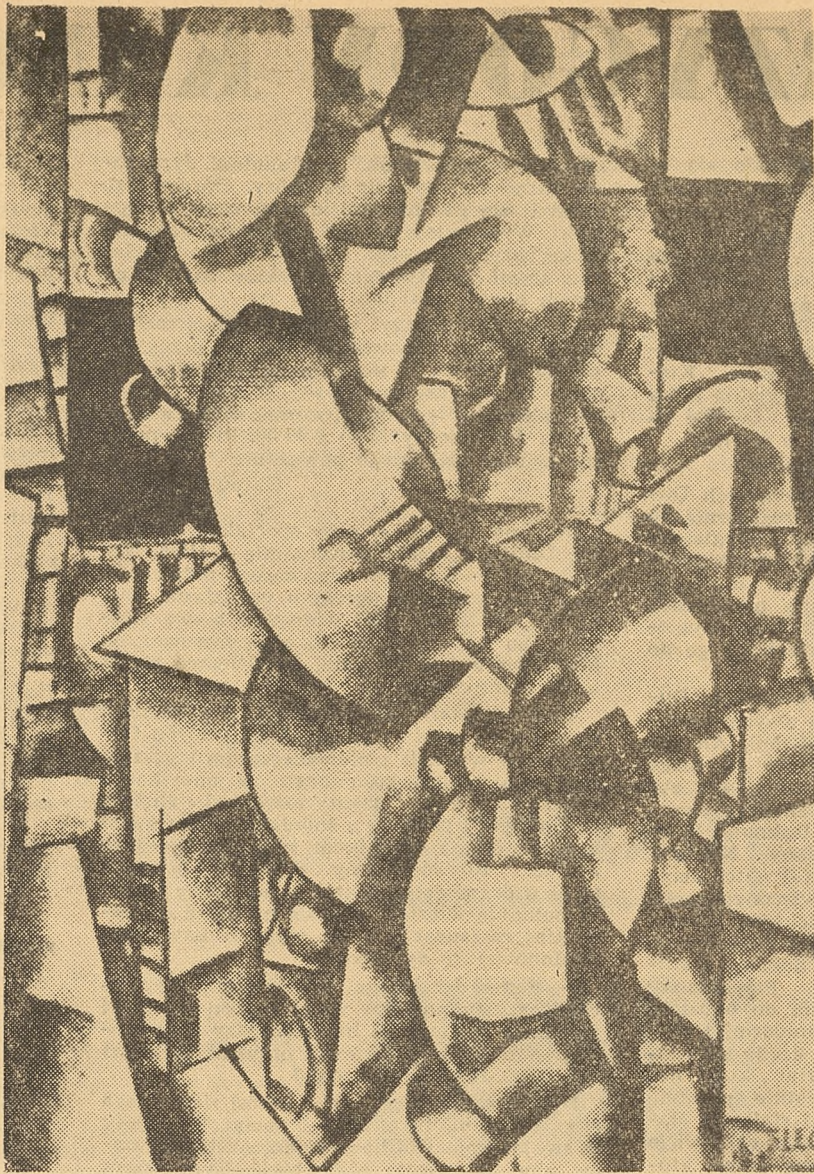
Równocześnie kubiści powracają do zasad geometrii malar-
skiej — złotego podziału, „boskiej
proporcji”, odwołują się do geome-
trii nieeuklidesowej, czwartego wy-
miaru, teorii liczb — i w ten spo-
sób starają się wyjść poza dotych-
czasowy konformizm malar-
ski i za-
spokoić swoją potrzebę tworzenia —
a nie naśladowania. Nie malują
„przedmiotów” ale „obrazy”. Waru-
nek tworzenia staje się więc podsta-
wowym dogmatem kubitów. Wed-
ług ich estetyki trzeba „tworzyć
nowe całości ze znanych elementów
droga aluzji lub czysto plastycznych
metafor” (Gris).

Równocześnie wszystko to podpo-
rzadkowane jest określone-
mu ryt-
mowi linii i barw, porządkowi ma-
tematycznych stosunków w kompo-
zycji — podobnie jak to miało miej-
sce u neoimpresjonistów. W przeci-
wienstwie do fowistów, a idąc w
ślad nabistów, kubiści uważali, że
im bardziej obraz jest skomplikowa-
ny, im więcej trudu musi zadać so-
bie widz, aby go odczytać, tym sil-
niejsze będą jego wzruszenia este-
tyczne.

*

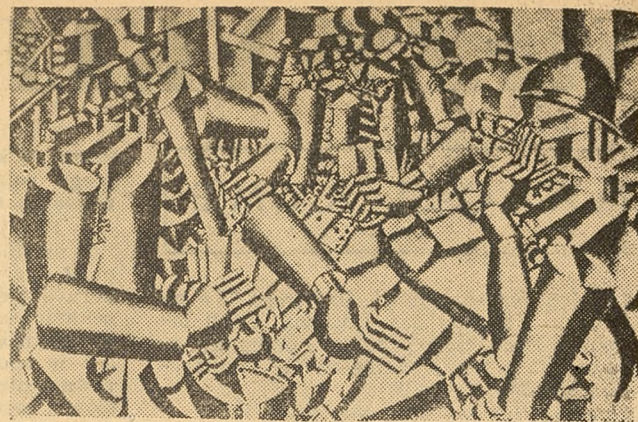
Początki kubizmu sięgają wios-
ny roku 1907. W tym to bowiem
roku w kwietniu Picasso roz-
począł malować swój obraz „De-
moiselles d'Avignon” (obecnie w
Muzeum of Modern Art w
Nowym Jorku), który stał się punk-
tem wyjścia dla tej nowej fazy ma-
larstwa. W tym czasie Picasso pozo-
stał pod wpływem sztuki iberyj-
skiej i rzeźby murzyńskiej i maluje
obrazy, w których sprowadza for-
my postaci i przedmiotów do zasad-
niczych schematów, upraszcza je i
oczyszcza z elementów drugorzęd-
nych, doprowadza do deformacji, bu-
dując obraz przy pomocy linii kół-
stych oraz prostych, przecinających
się pod różnymi kątami.

Zorganizowana w tym samym ro-
ku w Salonie Jesiennym retrospek-
tywna wystawa obrazów Cezanne'a
wywarła silny wpływ na młodych
malarzy. Dwie zasadnicze cechy o-
brazów Cezanne'a odegrały znaczną
rolę w ewolucji kubizmu: ukazywa-
nie — wbrew zasadom klasycznej
perspektywy — zniekształceń, jakim
ulegają przedmioty pod wpływem
światła (np. oświetlona połowa bu-
telki wydaje się większa od nieo-
świetlonej) i pod wpływem sąsiedz-
stwa innych form (np. linia stołu,
„przecięta” przedmiotem, z jednej
strony wydaje się być nieco wyżej,
a z drugiej nieco niżej; zarys tale-
rza „przerwany” położonymi na nim
owocami nie tworzy jednolitego krę-
gu, poszczególne części „nie przy-
legają” do siebie) — oraz silne ak-
centowanie form geometrycznych.
Tę ostatnią tendencję potwierdziła
opublikowana wówczas przez E. Ber-
narda wypowiedź Cezanne'a: „Ujmó-
wać naturę poprzez wałek, kulę, sto-
żek”.



R. de la
FRESNAYE
MARTWA NATURA
Z KARAFKĄ

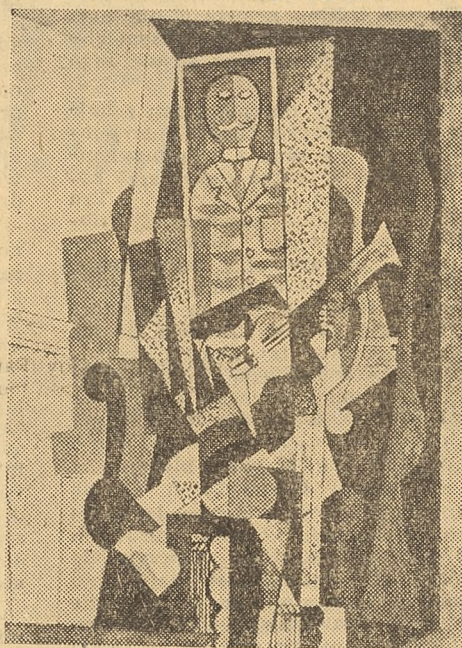
F. LEGER:
MODEL
W ATELIER
1912-13



F. LEGER: GRA W KARTY 1917



P. PICASSO: ARLEKIN Z GITARĄ



P. PICASSO: MĘŻCZYNA Z GITARĄ
1915
1924



J. GRIS: FLASZKA BORDEAUX
1915



J. GRIS
PORTRET
PICASSA
1910



Niespodzianka dla Czytelników „Zdarzeń“

- STAŁY COTYGODNIOWY KONKURS Z NAGRODAMI
- CZYTELNICY WSPÓLAUTORAMI STAŁEGO KONKURSU
- LICZBA NAGRÓD BĘDZIE UZALEŻNIONA OD ILOŚCI UCZESTNIKÓW
- NA NAGRODY PRZEMNACZAMY CO TYDZIEŃ PRZEDĘ WSZYSTKIM PRAKTYCZNE PRZEDMIOTY JAK NESESERY, ODKURZACZE ELEKTRYCZNE, BUDZIKI, PORTFELE ITP., ITP.
- RAZ W MIESIĄCU PREMIA NIESPODZIANKA
- KONKURS OBOWIĄZUJE JUŻ OD TEGO NUMERU

WARUNKI UDZIAŁU W KONKURSIE

Każdy czytelnik „Zdarzeń“, który wytnie, wypełni kupon i nadeśle do redakcji „Zdarzeń“, Kraków, Wielopole 1, bierze automatycznie udział w konkursie. Udział w najbliższym losowaniu biorą ci czytelnicy, których listy otrzymamy do najbliższej środy godzina 12. Listy z kuponami, które nadejdą później, biorą udział w losowaniu nagród w następnym tygodniu.

Wystarczy wypełnić kupon „Zdarzeń“ wypisując wyraźnie imię, nazwisko, adres i odpowiedzieć na pytania zawarte w kuponie.

CZYTELNICY WSPÓLAUTORAMI STAŁEGO KONKURSU

Redakcja „Zdarzeń“ prosi czytelników o nadsyłanie pytań do naszego stałego konkursu. Ci z czytelników, których pytania zostaną zakwalifikowane do druku, będą brali udział dodatkowo w losowaniu. Pytania mogą dotyczyć jakiegokolwiek dziedziny życia, muszą jednak być oryginalne, zaciękawiające i łatwe.

TREŚĆ PIERWSZYCH TRZECH PYTAŃ

1. Wymienić jedno z najwybitniejszych dzieł sztuki wywiezione przez okupanta, odzyskane po wojnie i poddane gruntownej renowacji.
2. Która z chorób gnębiących ludzkość jest obecnie najbardziej atakowana przez uczonych?
3. Jakie z towarów kupowanych za dewizy zagraniczne są najbardziej potrzebne dla naszej gospodarki?

KUPON

uprawniający do udziału w stałym konkursie tygodnika „ZDARZENIA“

Odpowiedz na pytania zawarte w numerze z dnia 7 VII 1957

1.
2.
3.

Imię i nazwisko czytelnika

Dokładny adres

KRÓTKI PORADNIK TURYSTYCZNY

przeznaczony jest w pierwszym rzędzie dla osób początkujących w turystyce i nie dysponujących jeszcze własnym zapobem doświadczeń, które nabywa się z czasem z praktyki. Nie znaczy to jednak, że nie mogą z niego korzystać bardziej doświadczeni, chociażby na zasadzie porównywania swoich spórzeń ze spostrzeżeniami tutaj zanotowanymi. Wszystkich tych, którzy mają coś do powiedzenia w sprawach o których będziemy pisać prosimy o przesyłanie uwag na adres redakcji.

TURYSTYKA WODNA

Do najbardziej atrakcyjnych w okresie letnich upałów należą niewątpliwie wycieczki wodne. Rzekami przewodzić można całą Polskę, nie placąc za bilet i korzystając z wszelkich atrakcji, jakich woda może dostarczyć: kąpieli, sportu wędkarskiego, wspaniałych widoków i nieprzewidywanych emocji różnego rodzaju. Liczne, jedne z najpiękniejszych w Europie cykle jezior w Polsce mogą stać się celem niezapomnianych wypraw.

KAJAK

Do zorganizowania wycieczki rzeką, względnie na jeziorach konieczny jest kajak. Zalety kajaka; kajakiem wszędzie można przepłynąć ze względu na małe zanurzenie, kajak stosunkowo łatwy jest do prowadzenia i przy zachowaniu pewnej ostrożności daje maksimum bezpieczeństwa na wodzie, ponadto kajak łatwo można kupić, względnie wypożyczyć w odpowiednim klubie. Istnieją (upraszczając) dwa typy kajaków; kajaki sztywne, wykonane z dyktu i składane z powłoką gumowaną. „Sztywniak“ posiada większą ilość zwolenników, nie tylko dlatego, że jest tańszy, ale również dlatego, że jest uważany za bezpieczniejszy od kajaków składanych. Otóż nie jest to zupełną prawdą. Nie wdając się w dyskusję podajemy zalety i wady obydwu typów.

ZALETY „SZTYWNIKA“

Tani, nie trzeba go rozkładać, po ewentualnym przewróceniu się na wodzie nie tonie, w pewnych warunkach bardziej odporny na uszkodzenie.

WADY „SZTYWNIKA“

Trudny do transportu koleją, zazwyczaj nie posiada fartucha i steru, trudniejszy do kierowania, przeważnie źle „bierze“ fale, często przecieka, jest ciężki.

ZALETY „SKŁADAKA“

Lekki, łatwy do transportu, pakowny, łatwy do kierowania, mało wyrotny, posiada przeważnie ster i fartuchy, idealnie szczelny.

WADY „SKŁADAKA“

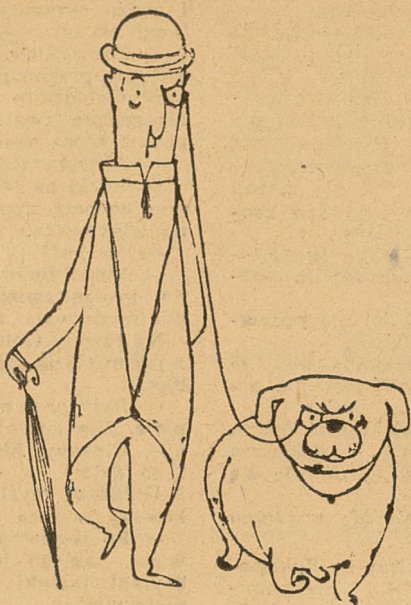
Łatwy do przebicia na ostrych przedmiotach, tonie zupełnie, jeżeli nie jest odpowiednio ustawiony po przewróceniu na wodzie, drogi. (Prawidłowo złożony, nie „złoczy się“ nawet przy największej fali, dlatego tej „wady“ nie uwzględniamy).

Jeżeli chodzi o rady, to polecamy na rzeki „sztywniak“ na jeziorach konieczny „składak“. Zarówno na jeziorach, jak i spływach rzekami konieczny jest ster.

Prowadzenie kajaka bez steru nie tylko że jest trudniejsze i bardziej niebezpieczne, zwłaszcza przy fali (ustawienie bokiem do fali, prawie zawsze kończy się przewróceniem), ale ponadto bardzo osłabia szybkość kajaka. Skracanie na kajaku bez steru odbywa się przeważnie przez tzw. „kontre“ wiosłem, co powoduje niepotrzebne wstrzymanie kajaka.

JAK ZAPOBIEC PRZEWROCENIU SIĘ KAJAKA

W zasadzie zarówno po rzece, jak i po jeziorze nie powinny kajakami jeździć osoby, które nie umieją bardzo dobrze pływać. Przewrócenie się kajaka daleko od brzegu jest jednak niebezpieczne i dla dobrze umiających pływać. Zeby zmniejszyć możliwość wywrócenia się, radzimy stosować następujące wskazania. Nie odpywać daleko od brzegu podczas fali, nie zapominać, że na jeziorze, a także na szerokiej rzece fala może powstać pod wpływem wiatru w kilka minut. Nie wypływaj na jezioro bez steru i bez szczególnych fartuchów chroniących kajak przed zalaniem wodą. Podczas fali, dziób kajaka kierować zawsze pod falę,



Odpowiedzi redakcji

Jan Malogóra, Wieluń. Cieszy nas, że odpowiada Panu tytuł naszego tygodnika. Nie ogłaszaliśmy konkursu, bo to zbyt długo by trwało. Biedzieliśmy się nad tytułem dobre trzy tygodnie a zdecydowaliśmy się w ostatniej chwili.

Michał Waniol, Nowa Huta. Antykwariaty są bardzo potrzebne. Książka wychodzi w pewnym ograniczonym nakładzie. Gdy znika z półek księgarskich, pewna liczba egzemplarzy wędruje do antykwariatów i to jest jedyna droga nabycia. Ludzie sprzedają książki z różnych powodów. Przy sposobności postaramy się napisać coś interesującego o antykwaryskich książkach.

Janina Luba, Rabka. Na większość listów przesyłamy odpowiedzi pocztą. W „Zdarzeniach“ drukujemy tylko te odpowiedzi, które mogą zainteresować szerszy ogół czytelników. Mamy i takich czytelników (ci są nam najbliżsi), z którymi utrzymujemy stałą korespondencję, niemal co tygodniową. A więc zapraszamy...

Paweł Choraży, Lublin. Niestety i w tym roku były podczas egzaminów maturalnych odpowiedzi „nie z tej ziemi“ i to w różnych stronach Polski. Jeśli byłby Pan uprzejmy nadesłać nam taki bukietik, dołączalibyśmy go do już posiadanego zaszobu, który publikujemy.

Kazimierz Konieczny, Opole. Nie zgadzamy się z Panem. Wprawdzie ilość przestępstw jest zastraszająca, ale tron społeczeństwa jest na pewno zdrowy. Ma pan natomiast rację, że głównie szkoła może pomóc. O młode pokolenie chodzi najbardziej.

Z łaski decentralizacyjnej — po wielu latach, znowu oglądaliśmy w Krakowie międzynarodowe zawody lekkoatletyczne Czechosłowacja — Polska. Bardzo piękne spotkanie! W ogóle lekkoatletyka zdobywa sobie wśród amatorów sportu coraz większe uznanie. Z przyjemnością patrzyło się na stadion, gdzie walczyli zawodnicy i zawodniczki obu reprezentacji z pasją i ambicją, tak rzadko dostrzeganymi ostatnio na naszych boiskach.

To ciekawe, że np. w meczach piłkarskich nie obserwuje się teraz dawnej ofiarności i ambicji, z których to cech słynęli zawsze nasi sportowcy. Rozgrywki futbolowe utraciły naczelną walory wizualne: piękno, szybkość i myśl w grze.

Lekkoatletyczne spotkanie Czechosłowacja — Polska potwierdziło, że w i e l e nauczyliśmy się w tej dziedzinie sportu. Ponadto odkryło znaną już prawdę o krakowskim stadionie. Poziom zawodów mógł zaspokoić wymagania najbardziej wybrednego widza — a poziom przygotowania bieźni, czy rzutni zagwarantował osiągnięcie całego szeregu rezultatów sportowych na skalę europejską i światową.

Stąd wniosek, że imprezy tego rodzaju powinny się organizować w Krakowie n i e raz na pięćdziesiąt, ale co najmniej raz w roku. Zarówno goście zagraniczni, jak i nasi reprezentanci wielokrotnie podkreślali, iż nie często zdarzało im się występować na tak pośnej bieźni lub skoczni. Zresztą, najlepiej określiły ów fakt same wyniki, gdzie — jak wiadomo — nie tylko p r z y g o t o w a n i e zawodnika wraz z jego aktualną formą fizyczną, lecz także p r z y g o t o w a n i e stadionu, czyli właściwa podbudowa formy psychicznej — składają się na ostateczny efekt sportowy!

A więc — panowie od decydowania: prosimy o bardziej przychylnie traktowanie Krakowa przy urządzaniu wielkich imprez lekkoatletycznych!

Zeby jednak nie pośadzono nas o jednostronność, musimy wspomnieć i o mankamentach ostatniej imprezy. Oczywiście: organizacja. Nie, n i e t a n i a b o i s k u, gdzie wszystkie szło na ogół sprawnie i zgodnie z planem prawie co do minuty. Mieilibyśmy jedynie pretensję, skądinąd usprawiedliwioną przykładem z trójmeczu Belgia-NRD-Polska, o lepszą t e c h n i c z n i e oprawę zawodów. Mianowicie: tablice orientacyj-

ne przy k a ż d e j konkurencji i tablica zbiorcza, powiadająca o aktualnym stanie punktowym sportkiania! Co prawda, speaker podawał przez megafony poszczególne rezultaty i punktację, ale zamazywało się to w chaosie dopingu i reakcjach widowni wobec r ó w n o c z e s n e g o rozgrywania kilku konkurencji. Również zapomniano, że po wprowadzeniu czasu letniego, można było zawody rozpoczynać w oba dni o godzinę później, co np. nie utrudniłoby biegaczom na 5 km uzyskania lepszych wyników, ze względu na niesamowity upał.

Gorzej było z organizacją n d z e w n a t r z stadionu. Już w założeniu źle pomyślane wybudowanie kas, wprowadziło potężny zameł przy wejściach. Dwa wąskie przesmyki były stale zakorkowane napływającą publicznością. W Orbisie nie sprzedawano biletów dla młodzieży do 15 lat, co przyczyniło się do balaaganu i blokady kas przed meczem.

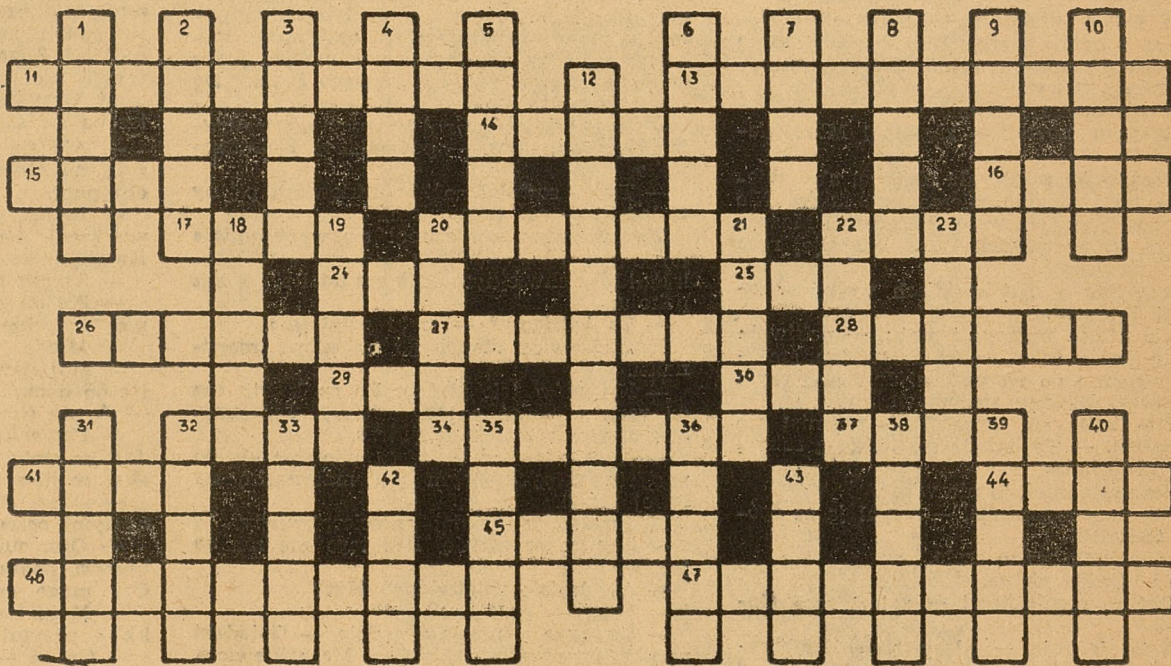
Dwa wejścia na stadion podczas atrakcyjnych zawodów, to stanowczo za mało! Podobnie wygląda sprawa opróżniania stadionu. Nie ma w żadnym cywilizowanym kraju takiego obiektu sportowego na większą miarę, żeby odpływ publiczności trwał tam a ż godzinę. Nawet stutysięczne stadiony pustoszeją dzięki dużej ilości wyjść w ciągu 30 min. W Krakowie nikt o tym nie pomyślał. Po co myśleć, niech niszczą ogrodzenia, niech ludzie tratują swoich bliznich, rozrywają siatki ochronne i własne ubrania. Po co myśleć? Byle zarobić, a minimum wygodny dla wiada, to fraszka!

Dlatego wracając z pięknego spotkania w lekkiej atletyce, gdzie dominowało wrażenie h a r m o n i i, odczuwaliliśmy zażenowanie wobec faktu, że zmuszono nas do odgrywania mało zaszczytnej roli bydła, które szamocze się z furją przy wyjściu. Osobiście, wolalibyśmy stanąć do biegu z przeszkodami, a nawet skapać się w rowie z wodą. Ba, ale n a t o, trzeba być co najmniej Krzysztofem Kowalkiem!

Nie przeszkadza to jednak w oczekiwaniu następnej imprezy lekkoatletycznej. Może do tego czasu nauczymy się myśleć. Doszlibyśmy do u pragnionego minimum w skoku w d a l o r g a n i z a c j i. Nie marzę nawet o rekordzie...

JERZY BOBER

KRZYŻÓWKA



Poziomo: 1) stolica Stanów Zjednoczonych, 13) jedna z dyscyplin sportowych, 14) może być ludzkie, może być ustawodawcze, 15) produkt suchej destylacji antracytu, 16) pięć tuzinów, 17) papiery urzędowe, 20) wartość przynosząca wartość dodatkową, 22) miasto w Syrii, 24) ptak, 25) zaimek, 26) służy do wysyłania lub odbierania fal elektromagnetycznych, 27) litery od a — z, 28) bisowna część wiersza, 29) termin w tenisie (wspak), 30) jednostka mocy elektrycznej, 32) produkt surowej bawełny, 34) formularz per-

sonalny, 37) nalećności, spłacane okresami (wspak), 41) zartobliwie: pościel, 44) zjednoczenie, jedność, „federacja“ państw, 45) niezbyt, 46) „budka“ telefoniczna, 47) sportowe urządzenie do skoków w wodę.

Pionowo: 1) gatunek drzewa, 2) bita droga, 3) dokument bardzo poufny (wspak), 4) kierownica w samolocie, 5) 1/16 części angielskiego funta, 6) nazwa samochodów CSK, 7) pospolity chwast zbożowy, 8) sklepka cienkich deseczek, 9) członek rodziny, 10) drużyna, zespół grupa, 12) fabrykant, wyszukujący siły najemne, 18)

używa się jej w szkole, 19) imię żeńskie, 20) stopień w hierarchii orderowej, inaczej, 21) nadbałtycka republika radziecka, 22) wytrzymałe psy, 23) zgrana klika, dbająca tylko o własne interesy, 31) głos męski, 32) piaszczyste wzniesienie, 33) rośnie na łąkach, 35) przymus, ostre polecenie, 36) rodzaj ciast, 38) szybkość ruchu, pęd, 39) monety radzieckie, 40) skoszona trawa, 42) pierwiastek chemiczny, 43) miasto w Rumunii nad rzeką Marusza.

(„Oskar“)

NIE MA ZABAWY

bez

PANA WŁADZIA

(5)

Mazurkiewicz przyglądał włosy i spokojnie odpowiedział:

— Proszę cię, opanuj się. Nie jesteś u siebie w domu.

Goladzki wyciągnął do niego rękę.

— Masz, skurczybyku, rację. Za to coś ci powiem, — wziął w swoje łapy jego głowę i siłą przyciągnął ją do swoich ust powiedział mu coś na ucho. Mazurkiewicz przyklnął powieki i chwilę słuchał z uwagą.

— Zrobione? — spytał Goladzki.

— Dobrze, — rzekł Mazurkiewicz i zwrócił się do kobiet, które obserwowały ich z wyrażonym zachwytem i podziwiał jego postawę wobec ogromnego Goladzkiego.

— Jak się panie bawicie?

— Doskonale. Brakowało tylko ciebie, — odpowiedziała Lilka.

— Rzeczywiście — dodała Jolka — jakoś się nie klei, prawda Zuza? Możebyś rozruszał to śpiące towarzystwo.

Zuza potaknęła. Mazurkiewicz rozejrzał się po pokojach. Linkowski wraz z Madymkim i Zyberskim rozprawiali w salonie. Konieczynski oglądał z założonymi rękami duży obraz Fałata, wiszący na ścianie. Goladzki lawirował przy stole. Maryjka i Kasia zaśmiewały się z czegoś w kącie, pokazując sobie palcami Zombrzeskiego.

— Z czego się panie tak śmieją? — zapytał rozbawione kobiety.

— A nie powiem, — zawołała Kasia.

— Może jeszcze kieliszek? — zaproponowała Zuza, biorąc do ręki butelkę.

— Nie, dziękuję, — odmówił z czarującym uśmiechem, — mam wóz na dole.

Radio buchnęło ostrym rytmem jazzu. Mazurkiewicz poprosił Zuzę do tańca.

— A wy? — załamała ręce Jolka, zwracając się do przechadzających się mężczyzn — nie wstydzicie się. Władek już tańczy.

Kamaszowski zdecydował się zatańczyć z Lilką, a Konieczynski z Jolką. Szybki rytm nie bardzo im odpowiadał. Konieczynski gubił kroki, Jolka śmiała się z niego jak szalona. Potem zamienili się i Mazurkiewicz zaczął tango z Jolką. Nawet Goladzki widząc, że taniec ma powodzenie u kobiet, sunął niezgrabnie po parkiecie, unosząc prawie w powietrzu drobną Lilkę.

Panowie, panowie, nie wstyd wam, — pokiwała głową Maryjka, stając w drzwiach, — jak przyszedł Władek zaraz zaczęła się zabawa, a tylko gadacie jak stare baby.

Linkowski obrzucił ją czujnym spojrzeniem. Maryjka trzymała się jednak dobrze, początkowy kryzys minął i nie zdradzała już większych oznak upicia.

Zyberski zerwał się z miejsca i poprawiłszy krawat skłonił się, prosząc Linkowską do tańca. Maryjka mrugnęła porozumiewawczo do swego męża i założywszy rękę wysoko na karku swego partnera, tańczyła lekko, przeginając się w biodrach do taktu muzyki.

Włoski speaker wyrzucił ze siebie jednym tchem setkę sloganów, reklamujących towary wielu firm i fabryk.

Tańczący przeszli do salonu.

— O czym mowa? — zagadnął Mazurkiewicz.

Kamaszowska popędzała służącą, aby zbierała ze stołu brudne talerze i półmiski. Nie spuszczała przy tym wzroku z postaci Mazurkiewicza, który trzymał teraz w swojej ręce dłoń Linkowskiej.

— Mówimy o możliwościach wojny — oznajmił Madymki.

— Nie macie lepszego tematu, — pokiwała żałośnie głową Jolka. — Będzie wojna, śmagnie ogonem i po wszystkich. Jest nad czym medytować. Bawmy się, używajmy.

— Nie boisz się umrzeć? — zaśmiał się Zombrzeski. — Ty, młoda rozwódka z sakwą pełną pieniędzy.

— Nie zaglądałeś, to nie wiesz.

— Daj pani zaglądnąć, — złapał ją za spódnice Goladzki.

Jolka pchnęła go w czoło.

— To nie dla ciebie.

— Dodam pieniędzy! — zatarł ręce Goladzki.

— A ja się boję, — odezwał się Zombrzeski, — boję się śmierci. Gdybym wiedział, że mam umrzeć nie ze starości, tylko tak niespodziewanie, to aż strach mnie teraz bierze.

— Każdy człowiek się boi, — oświadczył Linkowski. — Sprawa wygląda obecnie tym tragiczniej, że w razie wojny nie będzie już miejsc bezpiecznych.

— Brr! — otrząsnął się Zombrzeski.

— I pomyśleć, że na to nie ma rady. Żebyś miał nie wiem jaką forsę, tysiące dolarów, nikogo nie przekupisz, żeby na przykład nie iść do wojska i na front. Śmierć cię wszędzie dosięgnie. Nawet nie wiem czy w wojsku nie będzie najbezpieczniej.

— Idę do wojska, — klasnęła w ręce Lilka.

— A ja twierdzę, że czym prędzej wojna nastąpi, tym będzie lepiej dla nas, — rzekł Linkowski, — po pierwsze nie pozwoli się Rosjanom uzbroić, po drugie, będzie mniej udoskonalonych środków wojennych.

— To czemu się to nie zaczyna? — spytała poważnie Maryjka.

Linkowski podniósł ręce do góry.

— Kto ich tam wie? Czasem odnoszę wrażenie, że w Ameryce siedzą ludzie, którzy nie umieją patrzeć na sytuację. Przegapili tyle okazji, zmarnowano tysiące możliwości. — Linkowski zgasił papierosa. — I nie zanosi się na jakąś poprawę w tym względzie prośzę państwa, proszę na to nie liczyć.

— Zginiemy nawet nie wiedząc kiedy — westchnęła Jolka — to bawmy się do upadłego. Piijemy?

Linkowski szybko przerwał jej nie pozwalając nikomu sięgnąć po kieliszek.

— Eisenhower wygłosił przemówienie, w którym wyraża pogląd że świat jest już podzielony...

— Słyszałem o tym — rzekł Mazurkiewicz.

— A więc wojny nie będzie — zakreśliła się na pięcie Lilka, spódnica jej uniosła się odsłaniając opalone uda.

— Ale w polityce nigdy nic nie wiadomo — rzekł Konieczynski.

— Jechałszy raz z Wiadkiem do Zakopanego — powiedział Jagiński — i przypominam sobie że mówiliśmy o tym co może się stać z nami w razie wojny. Przypominasz sobie — zwrócił się do Mazurkiewicza, który przytaknął — wojna jedna bomba, huk i takie auto wylatuje z nami w powietrze. I po nas. Głupia śmierć. Jedziesz autem, niespodziewając się niczego i za chwilę przenosisz się do Boga. Za jakie winy i za co? Lepiej zresztą nie mówić o tym.

— Może zatańczymy — odezwał się Mazurkiewicz. — Już dość tych okropieństw.

— Panie stygną! — zawołał Zombrzeski.

Maryjka dygnęła przed Mazurkiewiczem, który ucałowałszy wewnętrzną stronę jej dłoni porwał ją do tańca.

— Czyżby powrót? — Kasia Madymka podeszła do Zuzy z rękami założonymi na piersiach. W tonie jej zabrzmiiała nuta złości. Kamaszowska mimo woli spojrzała na tańczącą parę, lecz udała, że wcale się tym nie przejęła.

— A mężczyźni powiadają że do starych kochanek się nie wraca — zaśmiała się Kasia. — A może tylko pożyczyl od niej pieniądze i w ten sposób spłaca odsetki.

— Nie jestem zazdrosna, — odparła lakonicznie Zuza, choć złość ją brała i na Władka i na Maryjkę za to, że wtrąca się w nie swoje sprawy.

— A o mnie też nie byłaby zazdrosna?

— Proszę cię, możesz spróbować.

— Takąś pewną, — Madymka odrzuciła dumnie głowę do tyłu — radzę ci jednak nie ryzykować. On mi się podoba.

— Wszyscy widzą, że strzelasz za nim oczami.

— Ale jeszcze z nim nie śpiam.

— Jeśli pragniesz tego, mogę ci zareklamować. Sądzę że do tej pory nie zwrócił na ciebie uwagi.

— Głupia jesteś, Zuza, nie chce mi się z tobą użerać. Daj wody.

Kamaszowska podała wszystkim napełnione kieliszki. Towarzystwo znowu podzieliło się na grupki. W jednej rej wodził Konieczynski sypląc jak z rękawa dowcipami, w drugiej Linkowski. Koło Mazurkiewicza zgromadziły się kobiety. Opowiadał im jakieś historie z ostatniego raidu, w którym brał udział jako sędzia kontrolny. W pewnym momencie podszedł do okna i wychylił się na ulicę.

— Czego tam szukasz? — spytała Lilka.

— Patrzę czy mi nie ukradli wozu? Nie wyobrażacie sobie, do czego są zdolni nasi chuligani. Dla zabawy potrafią zniszczyć samochód. Za mało się z nimi walczy. Gdyby to ode mnie zależało, byłbym bezlitosny. Spokojny człowiek nie ma prawa przejść przez ulicę bez obawy narażania swego życia. Do czego to podobne.

— Bo milicja tropi politycznych zamiast zając się bandytami, — powiedziała Kamaszowska.

— Ty — zawołał na Mazurkiewicza pijany Goladzki — coś ci powiem.

Mazurkiewicz uśmiechnął się wyrozumiale do kobiet, przeprosił je i poszedł za Goladzkiem, który chwiejnym krokiem udał się w kąt pokoju.

— To jedziemy? — rzekł półgłosem.

Mazurkiewicz złapał go za kłapę marynarki.

— Nie mów tak głośno. Po co każdy ma od razu wiedzieć co my robimy. Jedziemy. Już ci powiedziałem. Pojutrze.

— A to wziąć — Goladzki pomacał się po portfelu wypychającym mu marynarkę na lewej piersi.

Mazurkiewicz syknął zniecierpliwiony.

— Zamknijże mordę. Bez tego nie ma co jechać.

— Ale będzie załatwione? Mur?

— Mur.

— Spuszczę ci niezłą prowizję. — Goladzki pocałował niższego od siebie Mazurkiewicza w czoło. — Nie pożalujesz.

— Grunt żeby doszło do skutku. Pamiętaj, pojutrze, — potem odwrócił się do kobiet i rzekł głośno. — Oj, ty, ty — i przyjaźnie sztunknął go łokciem w bok.

— Ty — złapał go jeszcze Goladzki — co się mnie czepta ten gówniarz z wasami. Powiedz mu żeby się odchrzaniał.

— Paweł, uspokój się — zmarszczył brwi Mazurkiewicz.

— Bo mi się nie podoba. Idź i daj mu ode mnie w mordę.

Mazurkiewicz westchnął głośno dając poznać obserwującym go kobietom, że już nie

może wytrzymać. Na całe szczęście Goladzki stracił równowagę i zwał się na krzesło. Sapał ciężko i odgrzązał się, ale jego bełkotu już nikt nie słuchał.

— Zwierzę — orzekła Madymka — usnie i będzie wreszcie spokój. Nie zwracajcie na niego uwagi.

— Poczekajcie, będzie heca. — Maryjka na palcach przebiegła przez pokój i przykucnęła przy Goladzkiem. Oparła się łokciami o jego niezgrabne zwaliste kolana i podniosła mu głowę, która opadła na piersi.

— Zwierzaczku, powiedz kto jesteś?

Goladzki na sekundę oprzytomniał, rozwarł szeroko oczy, spojrzał niewidzącym wzrokiem na Linkowską.

— Co jest?

— Niech zwierzaczek coś powie ciekawego, no, proszę zwierzaczka — Maryjka palcem podtrzymywała mu podbródek.

Na twarzy Goladzkiego widać było wysiłek, z jakim starał się skupić myśli. Wreszcie wybąkał:

— Były pewne rzeczy? Były! I są. Nie istnieje. Nie istnieje. A są.

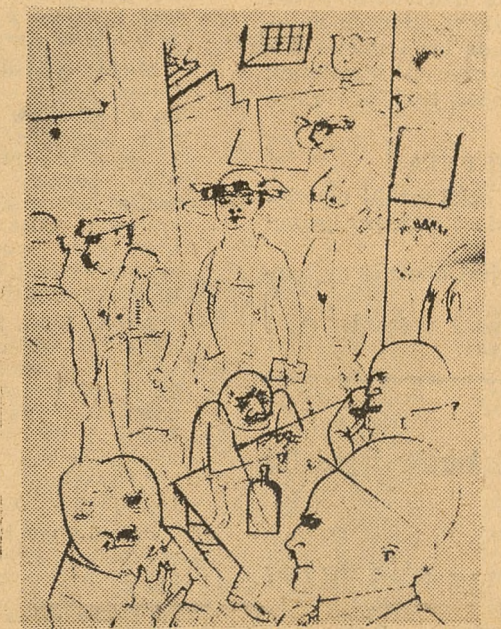
— Ciekawa historia — rzekła Maryjka — i co dalej?

Goladzki myślał intensywnie. Złapał Linkowską za rękę i przycisnął do serca.

— Bo ja jestem świnią. Kupięm od faceta, wiesz, takiego jednego faceta, taki, wiesz, brylant, taataki — zatoczył jedną ręką koło w powietrzu — za bruch. Wiesz, bo w pierścionku brylant powiedziałem mu, o co to był za głupia dupa, to nie brylant ale szkło. I uwierzył, wiesz. Uwierzył. Szkiefko, a ta dupa uwierzyła.

— Pokaż brylant — prosiła słodkim głosem Maryjka — pokaż zwierzaczku.

— Właśnie mi... — Goladzki kiwnął ręką w kierunku Mazurkiewicza, który uśmiechnięty zbliżył się do nich, wziął pod ramiona Maryjkę, postawił ją na nogi.



Według GROSZA

— Niech on lepiej śpi. Bredzi i nie trzeba go prowokować.

Maryjka posłała Goladzkiemu całusa.

— Nynaj, zwierzaczku.

— Widzicie panie — powiedział Mazurkiewicz — co wódka robi z człowiekiem? Kto nie ma silnej głowy, nie powinien pić.

— A ty jaką masz główkę? — poczochnęła go Maryjka.

Mazurkiewicz starannie przyglądał włosy.

— Prowadzę wóz — wyjaśnił — a przecież jestem w inspekcji drogowej. Gdyby któryś z szoferów ukaranych przeze mnie widział mnie pijanego za kierownicą, miałbym z tego powodu nieprzyjemności. Poza tym, wiesz, milicja! Znam ich prawie wszystkich i po prostu nie wypada mi tłumaczyć się przed nimi. Oczywiście że nic by mi nie zrobili, ale trzeba się szanować.

— Ale się spił — Lilka jeszcze raz pokazała na Goladzkiego, który nieprzystojnie chrapał.

— Ładną mielibyśmy zabawę, gdybyś nie przyszedł. Same trupy — zaśmiała się Jolka Kwasiburska.

— Któż to godzina? — spytała Madymka.

— Pół do pierwszej — odpowiedział usłużnie Mazurkiewicz.

— Młoda.

— Mój stary jak nie zagra, to będzie chciał iść do domu — oświadczyła ze złością Kasia.

— A nie chce mi się jeszcze iść.

— Panienki, bawcie się — Zombrzeski dołtarł do stołu i znalazłszy w nim oparcie klasnął w dłoń.

— Ocho, Philippe Gerard zjawił się przed naszymi oczami — zawołała Lilka.

— Oui, oui. Fanfan — pokrzykiwał Zombrzeski podskakując przy stole. — Tulipan? Czy mogę przytulić jakąś panią?

— Masz tam Golasa — wskazała mu Jolka — przytul się.

— On be — powiedział z niesmakiem Zombrzeski.

Zuza korzystając z zamieszania dotknęła ręki Mazurkiewicza. Nie cofnął ręki, więc śmiejąc ponowiła pieszczotę.

— Mój słodki — szepnęła cichutecznie wznośząc się na palce. — Była szczęśliwa. Władek mógł być tylko jej. Nie widziała godnej rywalki wokół siebie. Cicho zanuciła:

— „No fewo most, na prawo most”.

Mazurkiewicz spojrzał na nią z czułością. Natomiast Madymka zrobiła oko do Lilki. Wiedziały o co chodzi i uśmiechnęły się ironicznie.

Kamaszowski przekonał kobiety, że kilka partii pokera nie przerwie im zabawy, a panowie pragną trochę hazardu. Mazurkiewicz zgodził się chętnie wziąć udział w grze. Przy stoliku czekali na niego Madymki, Konieczynski i Jagiński. Nowiutkie karty leżały już na zielonym suknie odwrócone grzbietami do góry.

Konieczynski wyciągnął najmniejszą błotkę i rozdał karty. Madymki miał otwarcie i rzucił na stół banknot dwudziestozłotowy. Jagiński nadbił o dalszą dwudziestkę. Mazurkiewicz złożył karty, wyjął portfel i wyrównał bank. Kamaszowski uczynił to samo.

— Teraz ja zobaczę co mam — rzekł Konieczynski. — To dobre, to dobre, to też nie zię — powoli odsłaniał rożki kart. — Nie, proszę panów to musi grozić kosztować. Czterdzieści i osiemdziesiąt.

Wszyscy dolożyli. Konieczynski wymienił karty. Zapanaowała chwilowa cisza.

— Niech pan zamknie drzwi z łaski swojej — Jagiński poprosił Zyberskiego, który siedział jako kibic przy Madymkim. — Wrzeszczą aż uszy puchną.

Zyberski zerwał się z krzesła i zamknął drzwi. Hałas z drugiego pokoju przycichł. Grający z ułgą poprawili się na fotelach.

— Poczekam — zaanonsował Madymki.

— Ja również — powiedział Jagiński.

— Z pół puli — oświadczył Mazurkiewicz — wyłożył setkę i wycofał dwadzieścia złotych.

— Nie ma mnie — Kamaszowski rzucił karty.

— A ja? — Konieczynski powolutku filował, potem zamknął wachlarzyk i rzekł beznamętnie.

— Drugi raz tyle.

Pozostali dopłacili. Sprawdzany Madymki miał trójkę waletów i wygrał.

— Pierwsze koty za płoty — zażartował Mazurkiewicz. — Dobrze na początku przegrać.

Po kilku rundkach otwarcie kosztowało już sto złotych. Mazurkiewicz chcąc przełamać kartę często otwierał w ciemno z wysokiej stawki. Zawsze jednak ktoś miał lepszą kartę. Gra toczyła się w milczeniu. Przed Madymkim urosł stożek banknotów.

Zażrzała do nich Kamaszowska.

— Chłopcy — powiedziała — zraziki po węgiersku na stole.

— Fyszności — rzekł Jagiński nie odwracając głowy od kart.

— Chwileczkę — Kamaszowski ruchem ręki pokazał żonie, żeby nie przerywała. W puli było kilka tysięcy złotych i nikt nie miał ochoty zajmować się jedzeniem.

— Trzy asy. Wystarczy! — oświadczył Jagiński.

— Mało! — powiedział spokojnym głosem Mazurkiewicz.

— Fiu — gwizdnął Kamaszowski. — Przegrałem.

— Zaraz się okaże. — Madymki lubił celebrować, długo badał rożki kart. Potem odłożył je na bok.

— Dla mnie dobre.

Mazurkiewicz ani nie drgnął. Te kilka tysięcy zwracało mu mniej więcej dotychczasową przegraną. Od Konieczynskiego, który był na ostatniej ręce, zależało czy pieniądze powrócą do niego.

— Foul królewski! — adwokat rzucił karty przed siebie.

Mazurkiewicz bez sprzeciwu zgarnął wszystkie karty ze stołu. Konieczynski rabrał się do segregowania banknotów. Aby pocieszyć Mazurkiewicza, powiedział:

— Trzeba przyznać, że nie masz szczęścia.

— Mówi się trudno i kocha się dalej.

W momencie, gdy Mazurkiewicz chciał rozdać karty, usłyszeli najpierw krzyk kobiecy, potem łoskot upadającego ciała. Zerwali się z miejsc. W drugim pokoju wybuchnęła awantura, podniecone głosy zmieszały się w jeden głośny, niewyraźny bełkot.

Wpadli do jadalnego. Goladzki leżał na podłodze, a kobiety trzymały szarpiącego się w ich rękach Linkowskiego.

— Ja mu pokażę, łobuzowi — pienił się inżynier — nie pozwolę draniowi obrażać mej żony.

Tolo Zombrzeski rozkładał nieprzytomnie ręce i łapał się co chwilę za głowę. Maryjka zalażyła od tyłu mężowi ramię za szyję i ścisnęła go co sił, aż mu gałki oczne wyłaziły na wierzch. Mimo to potrafił jeszcze krzyczeć. Zuza stała pochylona nad Goladzkiem, który z trudem zbierał się z parkietu. Był zamroczony alkoholem i nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co się stało.

Kamaszowski przygryzł ze zdenerwowania wargi. Zabrał się do podnoszenia Goladzkiego. Tymczasem Mazurkiewicz i Jagiński zajęli się Linkowskim.

— Cóż ty wyrabiasz? — przemówił do Linkowskiego Mazurkiewicz.

— Dalem mu w mordę. Puśćcie mnie, to mu jeszcze przywałę.

— Nie wstydź się?

— Nie. Puśćcie mnie to mu przywałę... — próbował się wyrwać im z rąk. Mazurkiewicz zacisnął zęby i odepchnął go, aż Linkowski zatoczył się pod ścianę.

— Słuchaj, Władek, nie zaczynaj ze mną — wycedził Linkowski i w jego oczach pojawiły się żłosiłwe ogniki.

— Uspokój się. Nie jesteś u siebie.

— Nie zaczynaj, bo i z tobą mam na pieńku.

— Henryk — rzekł ostro Mazurkiewicz — przestań. Psujesz wszystkim zabawę.

— Henryczku — Maryjka poglaskała go po twarzy — chodźmy już do domu.

— Henryczku — pocałowała go w policzek Lilka — nie bądź taki zły. Uśmiechnij się.

(Ciąg dalszy nastąpi)